ŁOWIEC POLSKI



53 ROK
WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

NR 1 – 2 (986 – 987) STYCZEŃ – LUTY 1951 CENA ZŁ 4

KOMUNIKAT
Komisji Głównej Kynologicznej PZŁ

Wobec licznego zainteresowania i zapytań ze strony Kolegów Myśliwych w sprawie szkolenia posiadanych psów myśliwskich w ośrodkach szkoleniowych, Komisja Gł. Kynologiczna komunikuje:

I. Psy przyjmowane na szkolenie winny być ras myśliwskich, zdrowe, dobrze odchowane i muszą mieć ukończone 9 miesięcy.

II. Psy przyjmowane są do szkolenia na 1 miesiąc próbny i po tym terminie pies może pozostać w ośrodku na dalszym szkoleniu, ewentualnie w wypadku nie nadawania się psa do szkolenia może nastąpić odmowa dalszej tresury przez ośrodek.

III. Korespondencję z opłaconą odpowiedzią w sprawach oddania psa do ośrodka należy kierować bezpośrednio do Kierownictwa Ośrodka, wg. podanych adresów:

1. Ośrodek Hodowlano - Szkoleniowy w Mrokowie k. Warszawy — do Zw. Kynologicznego, W-wa, N. Świat 35.

2. Ośrodek Hodowl.-Szkoleniowy w Rożniatach, k. Inowrocławia — do Oddz. Rady Kynologicznej w Inowrocławiu, ul. Marulewska 35.

3. Ośrodek Hodowl. - Szkoleniowy w Koszycach W., k. Tarnowa — do Pow. Rady Łow. w Tarnowie, ul. Klikowska 35.

4. Ośrodek Szkoleniowy dla psów ras obronnych w Grobicach, k. Grójca — do Oddz. Rady Kynologicznej w W-wie, N. Świat 35.

W sprawach nabycia psów wszelkich ras oraz rozprowadzania szczeniąt przez kol. myśliwych i leśników należy zwracać się do Komisji Gł. Kynologicznej PZŁ., w W-wa, Nowy Świat 35.

Jednocześnie Komisja Gł. Kynologiczna prosi Kolegów posiadających dokładną znajomość i umiejętność układania psów i chcących pracować zawodowo w ośrodkach hodowlano - szkoleniowych, o zgłaszanie swych kandydatur.

Wojew. i Powiat. Rady Łowieckie zaś, proszone są o typowanie młodych praktykantów pragnących pracować w ośrodkach hodowlano-szkoleniowych zawodowo, celem skierowania chętnych do ośrodków.

Komisja Gł. Kynologiczna PZŁ

Spis rzeczy w numerze

Nasza okładka: „Wilki“ — rys. H. Chmielewski.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 1–2 (986–987) 1 9 5 1 STYCZEŃ–LUTY



Wilki A. Wierusz-Kowalski

ADAM PRZECŁAWSKI

Wzmożoną pracą walczymy o pokój

ROZPOCZYNAMY rok 1951 pod znakiem wzmożonej walki o wielką ideę pokoju, wolności i postępu, o zwycięstwo ich nad zakusami imperialistów narzucenia przemocą swego panowania nad światem.

Notujemy fakty coraz bezczelniejszej prowokacji ze strony faszystowskiej kliki anglo-saskiej.

Działająca pod przewodem zwyrodnialca Trumana międzynarodowa mafia imperialistyczna staje się coraz bardziej niepoczytalna, zdradza coraz ostrzejsze objawy wojennej histerii i manii prześladowczej, prowokując świat coraz ohydniejszymi metodami terroru, coraz większym posiewem śmierci, zniszczenia i niedoli ludzkiej.

Zbrodnicze krwiożercze instynkty, potworne w swych skutkach akty bestialstwa w Korei, w Chinach, Vietnamie, na Malajach, w Indonezji, są widomymi odznakami rozkładu kapitalistycznego ustroju, są dowodem jego upodlenia i kompletnego moralnego upadku. Gangrena i zwyrodnienie do reszty zżerają gnijący organizm imperializmu, który jak tonący brzytwy chwyta

się najnikczemniejszych środków i sposobów celem ratowania własnej skóry, przedłużenia za wszelką cenę swego zbrodniczego żywota.

Wiemy jednak, że ani zimna wojna, ani prowokacje i szantaże polityczne, ani korupcja dolarowo-funtowa, ani wskrzeszanie hitlero-faszyzmu, ani wreszcie bomby atomowe czy wodorowe nie są w stanie zatrzymać i nie zatrzymają procesu światowego postępu i rozwoju i nie zahamują koła historii ludzkości.

Zbliża się już koniec koszmarnej epopei Trumana, jak znalazła swój zasłużony kres i rozpadła się w proch zbrodnicza potęga Hitlera. Polityka imperialistyczna musi zbankrutować i zbankrutuje tak samo, jak doznała całkowitej porażki i upadku polityka Hitlera i jego obłędna żądza narzucenia światu przemocą swego panowania.

Człowiek jest produktem historii i odwrotnie historia jest tworzona przez człowieka. Lecz nic samo przez się nie robi. Każdy akt rozwoju historii ludzkości jest wynikiem uporczywej, stałej, systematycznej, wytrwałej walki. Imperializm sam przez się nie upadnie, sam siebie nie zlikwiduje. Idea pokoju nie zwycięży koncepcji wojny. O pokój, o likwidację imperializmu trzeba walczyć. Walka o pokój jest walką o socjalizm, walką o obalenie i likwidację imperializmu.

Ludzkość toczy tę walkę świadomie, systematycznie, trwale, nieugięcie.

Jednym z najistotniejszych etapów walki o pokój jest apel sztokholmski i II-gi Światowy Kongres Obrońców Pokoju.

Mamy żywo w pamięci sławny i wielki dla naszego narodu miesiąc listopad ub. roku, gdy w murach naszej odradzającej się Stolicy obradował przez siedem dni II Światowy Kongres Obrońców Pokoju.

Historyczny ten Kongres, który nie miał dotąd sobie równego w dziejach świata, skupił 2.000 delegatów, reprezentujących 80 narodów ze wszystkich części świata.

Setki milionów ludzi miłujących życie i pragnących pokoju, którzy złożyli swe podpisy pod apelem sztokholmskim, wybrało delegatów spośród najlepszych swych synów i córek, najbardziej zasłużonych i cenionych ludzi świata pracy, wybitnych naukowców, czołowych działaczy społecznych, artystów, przedstawicieli wszystkich kultów religijnych, wiernych wyznawców i obrońców wielkiej idei pokoju.

Na Kongresie przeważająca część ludzkości jasno wypowiedziała swą nieugiętą wolę zachowania na świecie pokoju, zamanifestowała swą gotowość niezłomnej walki o pokój, o przekształcenie stosunków ludzkich na zasadach wyzwolenia wszystkich ludów z imperialistycznej niewoli i ucisku, poszanowania praw wszystkich narodów do samostanowienia o swych losach i wewnętrznych ustrojach oraz o nieprzymuszonej przyjaznej współpracy wolnych narodów świata.

Szlachetna idea pokoju i sprawiedliwości społecznej odniosła na Kongresie swój wielki tryumf.

Kongres przez wybranie stałej Światowej Rady Pokoju, wydanie manifestu do narodów świata i orędzia do Organizacji Narodów Zjednoczonych posunął dzieło walki o pokój w sposób istotny naprzód, jeszcze bardziej jednocząc i konkretyzując tę walkę.

Prezydent R.P. Ob. Bolesław Bierut na przyjęciu delegatów Kongresu wypowiedział następujące, pełne najgłębszej prawdy słowa: „...Siłą obrońców pokoju jest to, że ich idea odzwierciedla prawdę i czystość moralną, że zgodna jest z wysiłkami rozwojowymi ludzkości, że odpowiada postępowemu rozwojowi dziejów społecznych... Ale moralna siła idei staje się potężną i niezwyciężoną dopiero wówczas, gdy przeobraża się w zorganizowane i świadome działanie... Zadaniem ruchu obrońców pokoju jest budzić świadomość mas i ułatwić im zorganizowane działanie mimo terroru i represji ze strony imperialistycznych rządów... Zadaniem ruchu ... jest uświadomić masom prawdę o rzeczywistych niebezpieczeństwach, zagrażających pokojowi. **Walcząc o pokój — walczymy o prawdę, walczymy przeciwko krzywdzie, walczymy o sprawiedliwość**".

Drugi Światowy Kongres Pokoju poprzedzony był — w tymże miesiącu listopadzie, który jest Miesiącem Pogłębienia Przyjaźni Polsko - Radzieckiej — uroczystymi obchodami w całym kraju w dniu 33-ej rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Rewolucja wg. słów Józefa Stalina: „stanowiła przełom w historii ludzkości. Gruntowny przełom w dziejach światowego kapitalizmu, gruntowny przełom w ruchu rewolucyjnym światowego proletariatu, gruntowny przełom w sposobach walki i formach organizacji, w życiu codziennym i tradycjach, w kulturze ideologii mas wyzyskiwanych całego świata".

Zwycięska Październikowa Rewolucja ogarnęła potężnym płomieniem rewolucyjnego socjalizmu cały glob ziemski, budząc wśród ludów uciskanych nadzieję zrzucenia kajdanów niewoli, dokonując w świadomości setek milionów tych ludzi decydujących, radykalnych przeobrażeń i porywając je do walki wyzwoleńczej.

Wielki Związek Radziecki — pierwsze Socjalistyczne Państwo na świecie — od chwili swego powstania stał i stoi nadal niewzruszenie na stanowisku obrony praw do samodzielnego życia wszystkich małych narodów, obrony ich interesów gospodarczych i niezależności politycznej, demaskując publicznie na posiedzeniach ONZ wszystkie zdradzieckie chwyty i wszystkie polityczne machinacje monopolistów kapitalistycznych, panów funta i dolara.

Tylko Związek Radziecki i sprzymierzone z nim Demokracje Ludowe reprezentują na arenie narodowej uczciwą i prawą politykę, mającą na celu dobro i bezpieczeństwo całej ludzkości.

Moralna, polityczna i gospodarcza siła Związku Radzieckiego, oparta i wyrastająca z szlachetnej, twórczej ideologii marksizmu - leninizmu, posiada decydujący wpływ i przoduje ludzkości w walce o pokój.

Miliardowy już dzisiaj obóz pokoju widzi w Związku Radzieckim siłę, zdolną obronić sprawę pokoju i uratować ludzkość przed katastrofą nowej światowej wojny. Setki milionów ludzi prostych, bez różnicy rasy, przekonań politycznych czy wierzeń religijnych — darzy Związek Radziecki najgłębszym zaufaniem, miłością i poparciem.

Na jednym z plakatów, wydanych z okazji Kongresu Pokoju, umieszczono hasło: „Każdy wzrost produkcji — to cios w podżegaczy wojennych". Zarówno Warszawa, jak i cała Polska zrozumiały głęboki sens tego hasła — witając Kongres Pokoju nie tylko gorącym sercem, ale i wzmożonym twórczym wysiłkiem na całym froncie pracy.

Tysiące wart pokoju, masowe nadprogramowe zobowiązania i osiągnięcia produkcyjne, ofiarny, żywiołowy zryw całego świata pracy stały się wspaniałą manifestacją solidarności naszego społeczeństwa z Kongresem Pokoju.

Rzecz naturalna, że pierwsze miejsce w tej szlachetnej rywalizacji utrzymała Warszawa — uznana przez Kongres „za symbol zwycięstwa twórczej pracy nad zniszczeniem" i za „żywe wcielenie idei pokoju".

Znakomity literat radziecki Ilia Erenburg, członek Biura Światowej Rady Pokoju, oświadczył: „Wskrzeszeniem Warszawy Polska dokonała cudów w dziele umocnienia pokoju i jest rzeczą sprawiedliwą, że od chwili obecnej zwycięstwo pokoju związane jest z imieniem tego miasta".

Fakt nadania Warszawie Honorowej Nagrody Pokoju jest zasłużonym uznaniem dla Polski Ludowej za jej osiągnięcia w dziele odbudowy Stolicy i całego kraju. Lecz te zaszczytne fakty nakładają na nas — ludzi pracy — odpowiedzialny obowiązek utrzymania i nadal tej opinii w oczach całego świata. Przyjmując ten zaszczytny dar z rąk Kongresu Pokoju -- Polska Ludowa przyjęła na siebie oblig moralny, że jak dotąd, tak i nadal nie będzie skąpić swych wkładów w pomnożenie sił obozu Pokoju, i że te wkłady w miarę rozwoju jej gospodarki będą stale wzrastały.

Jest to jedna z zasadniczych przesłanek, która będzie przyświecać naszej pracy w r. 1951 i która pobudzi naszą ambicję i energię, abyśmy zasłużyli sobie na jeszcze lepszą ocenę.

Poza naczelną dewizą: „Wszystko dla wykonania Planu 6-letniego" — dwa inne omówione wyżej zasadnicze aspekty, a więc sprawa wygrania generalnej bitwy o pokój i sprawa zacieśnienia więzów braterskiego sojuszu ze Związkiem Radzieckim — muszą stanowić ideologiczną podbudowę całej naszej pracy, muszą jej nadać zasadniczy ton i kierunek — muszą prześwietlać każde nasze poczynanie.

Rozpoczynamy rok 1951 — drugi rok 6-letniego planu gospodarczego, drugi rok socjalistycznej przebudowy naszego kraju.

Mamy poza sobą chlubnie wykonany plan 3-letni, mamy już dodatni bilans gospodarki za rok ubiegły, w którym zakreślony plan został wykonany przedterminowo, dając tym samym nowy pełnowartościowy wkład w dzieło rozwoju materialnej i duchowej kultury Narodu.

Pełna realizacja planu w 1950 r. to osiągnięcia ogromnej wagi, nie tylko gospodarczej, ale i politycznospołecznej, to probierz niezawodnej słuszności programu działania i linii postępowania, wytkniętych przez Partię i Rząd, to sprawdzian realny i przekonywujący że wskazania marksizmu - leninizmu, zastosowane w budownictwie Polski Ludowej prowadzą nasz Naród nieukłonnie do wielkiego celu, założenia niezniszczalnych fundamentów ustroju socjalistycznego w Polsce.

Skala dotychczasowych osiągnięć, ich rożnorodność i waga gatunkowa są niezaprzeczalnym i przekonywującym dowodem wyższości planowej gospodarki nad gospodarką kapitalistyczną, są nieodpartym argumentem, przemawiającym na korzyść Demokracji Ludowej, są widomym, rzeczywistym przykładem naszego wszechstronnego rozwoju i postępu.

Wobec tych ważkich bezspornych faktów — przekreślone zostają wśród najszerszych warstw naszego społeczeństwa niewiara i defetyzm, a tym samym wyrwane zostały jadowite kły szeptanej propagandy, zarówno rodzimej jak i obcej reakcji.

Pod wpływem faktów i dokonań, znamionujących nasz stały marsz naprzód — umacnia się w masach zaufanie i przywiązanie do PZPR, do Rządu Ludowego, do jego poczynań i przedsięwzięć, tak owocnych w dodatnie skutki dla całokształtu interesów Narodu.

Rośnie z dnia na dzień świadomość mas ludowych, wzrasta ich czujność klasowa, krzepnie ideologia i duch rewolucyjny, przybywają młode, pełne zapału i twórczej energii kadry fachowe, wzmaga się w miarę mechanizacji i udoskonaleń technicznych i organizacyjnych tempo i wydajność pracy, wzrasta stopa życiowa świata pracy i ugruntowuje się w masach przekonanie, że człowiek i jego praca są największą wartością, są istotnym, najcenniejszym skarbem.

Idziemy tym świetlanym szlakiem pod sztandarami Marksa - Lenina krokiem twardym i mocnym, łamiąc i obalając piętrzące się na naszej drodze przeszkody, idziemy wciąż naprzód i naprzód, zdobywając szaniec po szańcu, idziemy ożywieni entuzjazmem i przekonaniem w słuszność i pełne zwycięstwo socjalistycznych idei, nie tylko w naszym kraju, ale i na całym świecie.

Z takim właśnie nastawieniem politycznym, z taką klasową socjalistyczną ideologią winien przystąpić Polski Związek Łowiecki do realizacji swych programowych zadań w ramach 2-go roku planu 6-letniego.

Na czoło zagadnień organizacyjnych Związku wysuwa się sprawa dalszego umasowienia i zdemokratyzowania szeregów myśliwskich, oraz ostateczne oczyszczenie tych szeregów z elementów klasowo obcych i wrogo nastawionych do dzisiejszej rzeczywistości. W bezpośrednim następstwie dopływu nowych członków, rekrutujących się spośród robotników i chłopów, a szczególnie młodzieży robotniczo - chłopskiej — powstało przed Polskim Związkiem Łowieckim zadanie wychowania i wyszkolenia nowego narybku i właściwego przysposobienia i zmobilizowania młodzieżowych kadr do wykonania zadań socjalistycznej gospodarki łowieckiej.

Młodzież, która posiada, względnie uzyska odpowiednie przygotowanie łowieckie, należy wciągnąć do kierowniczych terenowych organów Związku, co niewątpliwie ożywi i zaktywizuje działalność tych organów.

Drugim z kolei czołowym zagadnieniem organizacyjnym jest sprawa zorganizowania powszechnej, planowej i długotrwałej gospodarki hodowlanej zwierzyny łownej.

Na tym odcinku nasza gospodarka łowiecka jest zaledwie w stanie zaczątkowym i w tej dziedzinie Polski Związek Łowiecki na szereg lat ma pełne ręce roboty.

W tym niezmiernie ważnym, decydującym dziale pracy, gdzie pokutują jeszcze różne stare przeżytki — Polski Związek Łowiecki ma przed sobą wiele trudności do pokonania. Musi wyplenić bez reszty zbyt częste jeszcze wypadki nie tylko bezplanowej, ale wprost rabunkowej eksploatacji terenów łowieckich. Musi uświadomić najszerszy ogół swych członków o roli i znaczeniu naszej gospodarki łowieckiej w ogólno - narodowym planie gospodarczym i musi drogą systematycznej akcji propagandowej doprowadzić do nale-

żytego zrozumienia przez cały ogół myśliwych elementarnej prawdy, że bez planowej, racjonalnie postawionej hodowli zwierzyny, nie może być mowy o prawidłowej, produktywnej gospodarce łowieckiej.

Slogan: „Kto chce polować — musi hodować" — winien się stać najbardziej popularnym hasłem i winien być wcielony w czyn.

Wykonanie tego zadania nie jest łatwe i będzie wymagać bardzo dużego wysiłku organizacyjnego oraz poważnego wkładu systematycznej i ciągłej pracy myśliwych.

Centralne i terenowe organa Polskiego Związku Łowieckiego winny dać właściwe organizacyjne nastawienie akcji, pomoc finansową, fachowy instruktaż i kontrolę oraz podjąć szeroką akcję propagandową. Natomiast praktyczne wykonanie zadania przypadnie w obowiązku stowarzyszeniom i kołom łowieckim.

Dla realizacji tego zadania Polski Związek Łowiecki musi zmobilizować wszystkie swe siły i podejść do sprawy od strony ideowo - wychowawczej. Winien pouczyć i przekonać szeroki ogół, że aczkolwiek akcja hodowlana wymaga znacznego wkładu systematycznej pracy i może nieraz być narażona na pewne niepowodzenia — mimo to jednak musi być podjęta i przeprowadzona w jak najszerszej skali.

Trzecim czołowym zagadnieniem, które wymaga szerszego omówienia jest sprawa współzawodnictwa pracy na niwie łowieckiej.

Sprawa ta była już tematem kilku artykułów w „Łowcu Polskim" i wywołała głębsze zainteresowanie wśród aktywistów związkowych w terenie.

Ojczyzną socjalistycznego współzawodnictwa pracy był Związek Radziecki — gdzie ruch ten zrodził się samorzutnie w dołowych komórkach pracy — dzięki wysokiemu politycznemu uświadomieniu i społecznemu wyrobieniu mas ludowych.

W Związku Radzieckim praca ludzka została podniesiona do poziomu szlachetnego kultu, została uznana za zaszczytny honor i obowiązek każdego obywatela i wzniesiona na wyżyny bohaterstwa narodowego. Socjalistyczne współzawodnictwo pracy może powstać tylko w takich krajach, w których został już zlikwidowany system kapitalistyczny, w których Władza Ludowa dokonała już gruntownych przemian ustrojowych. W krajach tych — rywalizacja w pracy nie ma charakteru niezdrowej konkurencji, podyktowanej wyłącznie chęcią osiągnięcia osobistych korzyści, lub też narzuconej nakazem pracodawcy-kapitalisty dla jego własnego interesu — natomiast jest konkretnym wyrazem świadomej, nieprzymuszonej woli ludzi pracy.

Socjalistyczne współzawodnictwo pracy posiada poza słusznym, osobistym zainteresowaniem jego uczestników — głęboki aspekt społeczny, gdyż dąży do osiągnięć, przeznaczonych do służenia powszechnemu dobru społecznemu.

W naszych warunkach ustrojowych i przy stosunkowo już wysokim wyrobieniu mas — współzawodnictwo pracy znamionuje nowy stosunek człowieka do pracy, stosunek w pełni świadomy społecznego celu podejmowanej pracy, stosunek właściwego zrozumienia przez świat decydującej roli i znaczenia jego twórczego wysiłku dla wielkiej sprawy, wzmagania gospodarczej mocy kraju.

Tak rozumiane współzawodnictwo pracy posiada ogromne znaczenie wychowawcze, gdyż krzewi zasady współpracy i wzajemnej pomocy, rozwija poczucie zbiorowej solidarności i odpowiedzialności, wprowadza czynnik społecznej kontroli oraz niezmiernie cenne twórcze pierwiastki rzeczowej krytyki i samokrytyki.

Jeśli chodzi o współzawodnictwo pracy w zakresie gospodarki łowieckiej, to sprawa ta dojrzewa w bardzo powolnym tempie. Mamy do zanotowania na tym koncie zaledwie skromne zaczątki ruchu.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że pierwsze próby na polu współzawodnictwa w działalności łowieckiej napotykają na swej drodze na różnorodne, mniej lub więcej poważne trudności i opory. Jest to zupełnie naturalne, gdyż nasze poczynania w tym zakresie mają charakter pionierski — nie posiadają dotąd w światowej praktyce żadnego precedensu, żadnego dorobku organizacyjnego i doświadczalnego. W miarę rozwoju ruchu współzawodnictwa, będą zmieniały się i doskonaliły, zarówno jego treść, jak i formy organizacyjne, w czym będzie nam pomocne samo życie, nasza praktyka i nasze własne doświadczenie.

Musimy dołożyć wszelkich starań, aby ruch współzawodnictwa pracy w naszym Związku zdobył nie tylko najszerszą skalę i długofalowy zasięg — lecz również pełnowartościową treść i najlepszą strukturę organizacyjną.

Wzywając brać łowiecką do wzmożonej pracy — czynimy to w pełnej świadomości, że najsilniejszą, zwycięską, bronią w walce o urzeczywistnienie naszych ideałów społeczno-politycznych i naszych zadań ekonomicznych — jest nasza praca, jest twórczy, solidarny wysiłek całego Narodu.

Podniesienie obronności naszego kraju może być osiągnięta przez dalszy rozwój i postęp naszej gospodarki narodowej, przez dalszą konsolidację i uświadomienie naszego społeczeństwa.

Dla osiągnięcia tego celu należy na każdym odcinku pracy mobilizować wszystkie rozporządzalne siły i środki.

Ten rygor jest obowiązującym nakazem i dla naszej Instytucji i dla wszystkich jej członków.

Dlatego też musimy pogłębić i umocnić polityczną i społeczną podbudowę szeregów związkowych, musimy nadal zacieśniać więź ideową i przyjacielską współpracę ze Związkiem Radzieckim i krajami Demokracji Ludowej, musimy w pełni wykonać nasz plan gospodarczy, musimy przeprowadzić programową akcję szkoleniowo-wychowawczą nowych kadr myśliwskich, musimy wreszcie dokonać dalszych usprawnień organizacyjnych w naszym aparacie wykonawczym.

Tylko należyte wykonanie tych odpowiedzialnych zadań pozwoli nam złożyć przed Polską Ludową nasz egzamin łowiecki z wynikiem dodatnim. Zdanie egzaminu łowieckiego jest równoznaczne z zamknięciem rachunku naszej całorocznej działalności w 2-im roku planu 6-letniego, dodatnim bilansem z nadwyżką.

I to będzie pełnowartościowym wkładem Polskiego Związku Łowieckiego w dzieło budowy fundamentów ustroju socjalistycznego w Polsce, w dzieło utrzymania i ugruntowania światowego pokoju, w dzieło szlachetnej walki o wolność i braterstwo narodów i o lepsze, szczęśliwsze jutro całej ludzkości.

PAWEŁ JASIUK

napisał J. E. KUCHARSKI

II Nagroda Konkursu Literackiego »Łowca Polskiego«

BRYCZKA stanęła przed domkiem kierownika P.G.R.-u Malinów. Strumień wody deszczowej, jaki się zebrał w ceratowym fartuchu pojazdu, chlustnął na ziemię i nasz gospodarz zeskoczył na próg werandy.

— No, nareszcie — zawołał z ulgą w głosie. — Bardzo panowie zmokliście?

Pytanie było czysto retoryczne, — deszcz lał już co najmniej godzinę, — toteż kilka parsknięć wystarczyło za całą odpowiedź. Na szerokim, dworskim podwórzu ostatnie płaty brudnego śniegu kurczyły się przed niespodziewaną ulewą. Wyłaziliśmy z bryczki. Nadleśniczy Grabowski zaczepił torbą o poręcz siedzenia i z rozmachem stąpnął w sam środek kałuży.

— Jeszcze inżynierowi mało wody? — roześmiał się ochlapany kierownik Słota, — chodźcie, chodźcie, chodźcie dalej, będziemy się suszyć.

Woźnica ruszył końmi w stronę stajni. Spojrzałem za nim. Z tyłu bryki sterczały cztery rapcie niezłego wycinka. Słota uchwycił moje spojrzenie.

— Nie byłoby i tego, — gdyby nie Jasiuk — powiedział, otrzepując z wody kurtę — a tak, to przynajmniej pan miał szczęście.

Odbierając ode mnie w sieni, ciężkie od deszczu, okrycie, dorzucił:

— Nie wiedziałem, że pan zna Jasiuka. To dzielny i porządny chłop. Jest tu przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej. Dobrze sobie radzą.

— No i nieźle gospodarzą — wtrącił z uśmiechem nadleśniczy i znacząco spojrzał na Słotę. Znaczenie tego uśmiechu zrozumiałem dopiero później, kiedy się dowiedziałem, że Spółdzielnia pobiła PGR o całe 30 quintali wydajności ziemniaków z hektara.

— Zobaczymy, panie Józefie, na przyszły rok — odpowiedział z przekonaniem Słota i weszliśmy do pokojów.

Niech się darzy dobrym rękom kobiecym, które — zmoczonym lutową ulewą — myśliwym, podają gorący bigos i tęgą, rozgrzewającą nalewkę.

Od szerokiego komina z czerwonych cegieł buchało ciepło, gdyśmy usiedli w fotelach. Rozmowa popłynęła wartko. Obgadaliśmy całe nieudane polowanie, przypomnieliśmy inne — udane, a potem już, jak z rękawa posypały się wspomnienia, opowieści, dykteryjki. Nadleśniczy Grabowski miał ich niewyczerpany zapas, a twarz jego w najbardziej krytycznych momentach jaśniała taką powagą, głos brzmiał tak uroczyście i przekonywująco, że bawiliśmy się doskonale. W końcu jednak, rozbrajające ciepło komina i mocna nalewka, zaczęły na niego działać, gdyż kiwnął się kilka razy i jego lśniąca łysinka zajaśniała nam naprzeciw.

— Zasnął — szepnął wyrozumiale Słota. — Napije się pan jeszcze kawy?

Nagle nadleśniczy ocknął się, spojrzał na nas przytomnymi oczami i pacnął się ręką w czoło.

— Ach, byłbym zapomniał! Muszę jeszcze o 9-ej być w biurze. Wysyłam dwóch gajowych do szkoły. Jadą w nocy, a nie wydałem im jeszcze papierów.

Spojrzeliśmy na zegarki, — było parę godzin czasu. I tak, niespodziewanie rozmowa zeszła na sprawy awansu społecznego. Nasz gospodarz mówił o tym gorąco i dużo. Sam był przed wojną ślusarzem — często bezrobotnym — i robotnikiem rolnym. Dzisiaj prowadzi PGR i wydaje mu się, że prowadzi dobrze. Potwierdził to, z uśmiechem, nadleśniczy, dorzucając, że jednak w ziemniakach Spółdzielnia ich pobiła. Przy tej okazji znów wypłynęło nazwisko Pawła Jasiuka.

— Pytał pan, skąd ja go znam? — zwróciłem się do Słoty. — To dłuższa historia. Musiałbym się cofnąć 15 lat wstecz. Wtedy jeszcze Jasiuk nie polował.

— Co pan mówi? — ożywił się nadleśniczy Grabowski — nam się wydawało, że to stary myśliwy. Prawdę mówiąc, — w całym powiecie nie ma mu równego. A jaki hodowca... Czy pan da wiarę, że w promieniu 10 kilometrów nie spotka pan już u nas kłusownika. Wszystkim dał radę. Panie, — on na czarnej stopie przychodził za każdym takim do domu. Niektórych powsadzał, — inni nie wychodzą już kłusować. Nic się przed nim w polu nie ukryje!

— Niech pan opowiada — zachęcał Słota. — To może być ciekawe. Już tam z jego przeszłości mało kto coś słyszał. Wiemy tyle, że był fornalem w jakimś majątku. Nic więcej.

— A więc dopowiem panom to „więcej" zacząłem. — Pawła Jasiuka poznałem w 1935 roku w lubelskim. Ojciec mój administrował wtedy kilkoma folwarkami hrabiego X. Na jednym z nich pracował Jasiuk. Był fornalem — to prawda, ale nieoficjalnie był prawdziwym łowczym całego klucza. Żadne polowanie nie obeszło się bez niego. Sam nigdy nie strzelał, mam wrażenie, że do wojny nawet dubeltówki w rękach nie miał. Hrabia miał swoich strażników, a Jasiuka — chociaż często korzystał z jego usług — wolał nie widzieć z bronią w ręku.

— Nie chcę ryzykować — mawiał — jeszcze by mi ten komunista w łeb wygarnął.

Komunistą wtedy Jasiuk nie był, ale miał bogatą i sprawiedliwą duszę. Pośrednio nawet, za jego przyczyną, ojciec mój rzucił zajmowaną posadę. Było to z okazji strajku buraczanego, na jesieni 1938 roku. Jasiuk był jego duszą, a ojciec miał już dość tego wyzysku i solidaryzował się z chłopami. Ale to już do rzeczy nie należy.

Przyjechałem do ojca na wieś po maturze. Rozumiecie panowie, dlaczego tak dokładnie i z taką sympatią osoba Pawła Jasiuka utkwiła mi w pamięci. Jeśli zastanawiałem się później nad znaczeniem słowa „wolność", to wydaje mi się, że pełen jego smak i sens odczuwa młody człowiek jedyny raz w życiu, po złożeniu tak zwanego egzaminu dojrzałości. A właśnie Paweł Jasiuk był stałym moim towarzyszem w tym okresie życia.

Następnego dnia po przyjeździe zawołał mnie ojciec do kantoru. Na krześle przy biurku siedział Jasiuk,

ściskając w rękach czapkę. Na biurku leżała nowa dubeltówka i kilka paczek ładunków. Ojciec stał pod oknem i z uśmiechem patrzał na moją oczarowaną gębę.

— Ponieważ nie lubię — powiedział z udaną powagą — kiedy mi zabierasz w pole dubeltówkę, musiałem ci kupić nową. Używaj jej godnie i szczęśliwie. A to jest — dodał wskazując na siedzącego — Jaweł Jasiuk. Będzie cię uczył chodzić w polu i w lesie. No, przywitaj się — dorzucił z uśmiechem przywołując mnie do przytomności.

Jasiuk wstał i mocno uścisnęliśmy sobie ręce. Czapka spadła mu na ziemię — schylając się po nią, zaczerwienił się lekko i powiedział prawie szeptem:

— Już ja tam panu wszystko pokażę. — Muszę przyznać, że dotrzymał słowa.

Dla mnie był to okres drugiej matury — niekiedy wydaje mi się, że trudniejszy od tej pierwszej. Egzaminy zdawałem co dzień, pod czujnym i krytycznym okiem Jasiuka. Był to początek lipca. Żniwa tego roku były trochę opóźnione — ojciec zwalniał Jasiuka całkowicie z pracy na folwarku. Granica między dniem i nocą zacierała się dla nas zupełnie. Często wieczorem wyruszaliśmy ciemnym szlakiem w knieję, aby dopiero gdzieś o świcie zakopać się w stogach siana na mocny, odurzający sen. Takie noce były pełne intensywnego życia, wprowadzały nas w sedno ważnych spraw kniei, uczyły widzieć mrok, słuchać ciszy, stopami czuć teren.

W miarę jak płynęły dni i noce wspólnych włóczęg, zasiadek, podchodów, nasze wzajemne stosunki utrwalały się w określony sposób. Jasiuk przelewał na mnie całą swoją niewyżytą pasję myśliwską, nie krył przede mną niczego ze swych obserwacji i doświadczeń. Był starszy o jakieś dwadzieścia lat. Szczupłą jego twarz pokrywał mocny, ciemny zarost, starannie i często golony. Długie nogi o nieproporcjonalnie małych stopach umiały bezszelestnie stąpać tam, gdzie początkowo ja lazłem jak nosorożec z trzaskiem i łomotem. Już pierwszego dnia, kiedy wyszliśmy po południu podchodzić chmarę saren, Jasiuk wzdrygnąwszy się kilka razy na trzask chrustu pod moimi butami — zatrzymał się i powiedział:

— Niech pan nigdy nie stawia stopy z góry, tylko — o tak — ukośnie do przodu. Wtedy będzie ciszej.

Jeszcze ten podchód nam się nie udał, ale już następny potwierdził słuszność jego uwagi. Doszliśmy na pięćdziesiąt metrów do pięknego stadka.

Dobrze było, kiedy uwagę swoją umiał Jasiuk ująć w słowa. Wtedy wiedziałem od razu, o co mu chodzi. Często jednak marszczył się, spoglądał na mnie porozumiewawczo i nie znajdując wyrazu dla swojej myśli, ruszał naprzód bez słowa. Obserwowałem go pilnie i starałem się naśladować. Wkrótce pojąłem, jak ogromne znaczenie mają w kniei drobiazgi, o jakich nigdy bym nie pomyślał. Pojętność moją kwitował Jasiuk zadowolonym uśmiechem lub potwierdzającym kiwnięciem głowy. Rozmawialiśmy bardzo mało. Ja nie pytałem, mając za wiele pytań — Jasiuk nie był skłonny do opowiadań. Pamiętam jak pierwszy raz opowiedział mi coś o sobie.

Był szary sierpniowy świt, na skraju kniei, po udanej zasiadce na dzika. Po księżycowej nocy chłód był niezwykły jak na tę porę roku.

Skończyliśmy patroszyć mojego pierwszego odyńca — Jasiuk rozpalał ognisko. Drżałem jeszcze wewnętrznym wzruszeniem, tak dobrze zrozumiałym dla każdego myśliwego. Po brzegi wypełniała mnie radość i duma. Spojrzałem na Jasiuka. Wątły żar oświetlał jego wydęte dmuchaniem wargi i zmrużone oczy. Poczułem dla niego przypływ wielkiej wdzięczności. Przecież to on wprowadził mnie w ten świat prawdziwie męskiego szczęścia. No tak, tylko jemu zawdzięczam dzisiejszą zdobycz. O północy zmienił się wiatr. Ciągnął od nas na przesmyk, gdzie spodziewaliśmy się dzików. Oczywiście, nie zwróciłem na to uwagi. Ale Jasiuk czuwał. Wynurzył się z mroku koło mnie.

— Musimy przejść na tamtą stronę — wyszeptał. — Wiatr się zmienił. Tu by nas zwietrzyły. — Zmieniliśmy stanowisko.

Jasiuk dokładał teraz drobnych gałązek — wątłe płomyki zaczęły wyskakiwać w górę. Odczułem nagle gwałtowną potrzebę wyrażenia mu swej wdzięczności w jakiś konkretny sposób — zaraz, natychmiast. Wiedziałem, że nie poluje, że nie ma broni, a jest przecież najprawdziwszym, najwspanialszym myśliwym, jakiego udało mi się spotkać.

— Wie pan co — powiedziałem — na następną zasiadkę dam panu dubeltówkę. Niech pan sobie strzeli dzika.

Twarz Jasiuka skamieniała. Wargi zwęziły mu się zaciętym grymasem.

— Dziękuję — powiedział zimnym głosem. — Ja nie strzelam. Nie wolno mi.

Zmieszałem się. Sądząc z reakcji, propozycja moja musiała być bardzo niestosowna.

— Będziemy tylko we dwóch — bąknąłem cicho.

Jasiuk uśmiechnął się.

— Dziękuję — powtórzył — nie trzeba. Ja będę polował, kiedy mi będzie wolno.

Roześmiał się cicho, niespodziewanie drapieżnym śmiechem.

Byłem zakłopotany. Jasiuk patrzył się na mnie kilka chwil poważnie, poczem zajął się ogniskiem. Dokładając coraz większych gałęzi, zaczął mówić:

— Pan się pewnie dziwi, skąd ja tak znam las, zwierzynę, dlaczego w każdy wolny czas tu uciekam. Tu jest moja wolność. A tam — machnął ręką w stronę pól i niewidocznego za horyzontem folwarku — tam niewola.

Słuchałem pilnie, zdawało mi się, że zaczynam rozumieć Jasiuka.

— Tu nie o pracę chodzi. Lubię pracować. Ale dla kogo? Dla tego błazna, co na konie patrzy się lepiej, jak na człowieka? Na jego granie w karty? Albo na te pachnące dziwki, co je z miasta przywozi? Nie — tak długo nie może być!

Smolna szczapa strzeliła w ogniu, odrzucając na jego kolana płonącą drzazgę. Strzepnął ją ruchem dłoni.

— Będzie inaczej. Wtedy na pewno będzie mi wolno polować — ale to nie ważne.

Ściągnął brwi i zapatrzył się w ogień. Dopiero po długiej chwili podniósł głowę i spod oka spojrzał na mnie. Zdawało mi się, że w spojrzeniu jego wyczytałem pytanie? — Co o tym sądzisz?

Odpowiedziałem: — Bardzo bym chciał zapolować wtedy z panem. Ale kiedy to będzie?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Prędzej albo później. Tak nie może zostać, bo to jest — niesprawiedliwe.

Domyślacie się panowie, jak się ucieszyłem, spotkawszy na dzisiejszym polowaniu Pawła Jasiuka. Poznałem go od razu, fizycznie zmienił się bardzo mało. Jest teraz masywniejszy, skronie ma już siwe, ale ruchy jego mają tę samą miękką lekkość, oczy — jak dawniej — bystro obserwują. Zmienił się natomiast zupełnie wyraz jego twarzy — nie ma już zaciśniętych warg. Odczułem w nim jakąś radość — wydaje mi się — radość człowieka twórczego. W krótkich słowach opowiedzieliśmy sobie nasze losy wojenne. Już w czterdziestym pierwszym roku był w lesie, organizował w lubelskim partyzantkę, walczył z hitlerowcami, wysadzał pociągi idące na wschodni front. Po wyzwoleniu, w randze sierżanta, przeszedł cały szlak bojowy II Armii, wreszce osiadł na ziemiach, które wyzwalał. Opowiadając mi to, zasępił się na chwilę.

— Ciężko było. Chyba nigdy w życiu nie było mi tak ciężko. Zdawało się, że nie dam rady. Skąd się tu wtedy tacy ludzie nabrali — nie wiem. Kradli wszyscy, a nikt nie chciał pracować. Co się zaczęło robić, to wszystko szło na marne. Kto przyjechał — to jak zobaczył robotę, znikał po paru dniach. A na pociechę zabierał sobie, co tam się jeszcze dało wynieść. Już chciałem wszystko rzucić i iść sobie do lasu. Ale się przemogłem. Pomyślałem: — przyszedł twój czas — to pracuj ile możesz. Od ciebie zależy, kiedy będzie lepiej. No i wreszcie przełamało się to draństwo.

Uśmiechnął się pogodnie. W dalszym ciągu, gdy opowiadał mi o swoim życiu, Spółdzielni, pierwszych sukcesach, pokonywanych przeszkodach — uśmiech ten nie schodził z jego twarzy. Tak poznałem życie nowego Pawła Jasiuka.

Stary — przypomniał mi się, gdy rozchodziliśmy się na stanowiska w pierwszym miocie. Serdecznym ruchem ujął mnie pod ramię.

— Pamięta pan naszą rozmowę przy tamtym pierwszym dziku? Doczekałem się. Prawda? I wie pan co? Ta broń — klepnął ręką kolbę swego drylinga — ten mój awans, wcale nie przyszedł dla mnie za późno. Poluję teraz, strzelam — ale kiedy przypomnę sobie jak wtedy, przed wojną tropiliśmy zwierzynę, jakżeśmy podchody na kozły robili — to przecież miałem wielką radość — chociaż nie miałem broni. Tak sobie czasami kombinuję o swoim myślistwie — to nie taka prosta rzecz. Myślę sobie: — żeby polować, strzelać, to trzeba przedtem coś pokochać. Czy ja wiem co? Może ten las, może te świty, kiedy się czuje jak ziemia oddycha, może tę zwierzynę, do której się później kropi? Czy ja wiem? To nie jest takie proste.

Wracając dzisiaj z polowania, w tym wstrętnym deszczu, który nam cały dzień popsuł, myślałem o tych słowach Jasiuka. Co jest z tym naszym myślistwem, koledzy? Jakiego wy zdania jesteście?



Napad wilków J. Chełmoński

INŻ. HERMAN KNOTHE

Odrodzenie bażantów w Polsce

(Plan organizacyjny)

PYTANIE, czy bażant ma być na terenach naszych łowisk zwierzyną pospolitą, która miałaby swe siedlisko na całej połaci ziem polskich, podobnie, jak kuropatwa czy zając, jest w dobie obecnej, przy odbudowie kraju pod względem gospodarki łowieckiej, pytaniem ważkim.

Skoro na pytanie powyższe damy pozytywną odpowiedź, zagadnienie odbudowy hodowli bażanta staje się poważnym zamierzeniem.

Mówi się ostatnio na ten temat dość dużo, pisze się na łamach pism fachowych, szczególnie na łamach Łowca Polskiego. Artykuły te rozpracowują sam dział hodowli, dając konkretne fachowe wskazania hodowlane, lecz nie wskazują żadnej drogi do ujęcia całokształtu hodowli bażanta w jakieś ramy organizacyjne. Tym samym pozostaje niewskazaną droga, która mogłaby doprowadzić hodowlę bażanta do szczebla takiego, na jakim dziś stoi hodowla zająca lub kuropatwy.

Kierunek, jaki obiera dziś hodowla bażanta, jest w większości przypadków, prawie identyczny z oazowym, przedwojennym systemem hodowli, systemem, który zatracił dziś swą rację bytu, a wprowadzany w życie, może doprowadzić do poważnych błędów.

W systemie tym uderza brak **koordynacji działania**, tj. podstawy i warunku koniecznego dla zrealizowania zamierzeń hodowlanych, szczególnie na odcinku hodowli bażanta, którą to dziedzinę zamierzamy odbudować i przebudować od podstaw.



Pointer i bażant

Nieuczynienie zadość tak powyższemu podstawowemu, jak i innym warunkom, może wytworzyć niebezpieczne dla hodowli sytuacje, jakich cały szereg spotykaliśmy przed wojną.

Istniały wtedy oazy hodowli bażanta, gdzie myśliwi hodowcy, z mniejszym lub większym nakładem pieniężnym i różnym zapałem, hodowali bażanty, dążąc zwykle do rekordów ilościowych. Jedynie ludzie wyjątkowo bogaci mogli sobie pozwolić na posiadanie dużych obwodów łowieckich, gdzie bażantarnia mogła być w centrum obwodu, okolona dużymi obszarami, które, mając tego samego gospodarza, pełniły rolę poniekąd pasów ochronnych dla bażantarni. Zwykle jednak obwody łowieckie były nieduże, a wtedy wysiłki, zamiary i praca hodowców były unicestwiane przez sąsiadów, dzierżawców lub posiadaczy terenów, okalających ich łowiska. Wrodzona chęć bażantów do wędrówek, jak i to, że bażanty w okresie, gdy można było na nie polować, były przez sąsiadów przynęcane zadawaną tylko w tym okresie karmą, jak i to także, że hodowca niszczył szkodniki (szczególnie drapieżniki czworonożne), tępił kłusownictwo, wnykarstwo i sidlarstwo, płacąc wysokie nagrody i strzałowe, podczas, gdy na sąsiednich terenach cała ta rzesza szkodników gnieździła się i bezkarnie grasowała — wszystko to czyniło, że w rezultacie duża część plonów hodowcy była zbierana przez sąsiadów lub ginęła, co często odbierało chęć do dalszej pracy i mało owocnych wysiłków.

Czy przy takim stanie rzeczy możliwe jest szybkie i tanie rozsiedlenie bażanta na większej połaci naszego kraju? — Stanowczo, nie! Powyższy system oazowy prowadził także do mieszania ras, co dla racjonalnej hodowli bażanta na dużą skalę, jest stanowczo niewskazane.

Możliwość więc powtórzenia podobnych sytuacji, musi być wykluczona przy dzisiejszym całokształcie racjonalnej gospodarki łowieckiej.

Wobec powyższego, zdaniem moim, dla zrealizowania odbudowy i przebudowy hodowli bażanta powinny być poczynione wstępne, lecz podstawowe kroki. Powinna być utworzona komisja, w której skład, weszliby przedstawiciele:

a) Ministerstwa Leśnictwa (w porozumieniu z Ministerstwem Rolnictwa, jako czynnik państwowy);

b) Polskiego Związku Łowieckiego — jako czynnik fachowy, społeczny, doradczy, składający wnioski Ministerstwu Leśnictwa;

c) Spółdzielnia „Jedność Łowiecka" — jako czynnik handlowy w tej dziedzinie.

Powyższa komisja powinna odpowiedzieć na trzy zasadnicze pytania:

1) Czy bażant jest ptakiem szkodliwym czy pożytecznym dla podstawowych gałęzi gospodarczych w tej dziedzinie, tj. leśnictwa i rolnictwa?,

2) Czy bażant w sensie handlowym, jako produkt spożywczy, jest rentowny, biorąc pod uwagę koszt jego hodowli i ochrony?;

3) Jakie korzyści da hodowla bażanta Skarbowi Państwa przez eksport i dostarczanie na rynek wewnętrzny w stanie żywym, jako materiału hodowlanego, i w postaci dziczyzny.

Kwestia, czy nasze warunki klimatyczne i topograficzne odpowiadają hodowli bażanta została już rozstrzygnięta przez stosunkowo długoletnie doświadczenie. Warunki geograficzne naszego kraju są odpowiednie i bażant czuje się u nas dobrze.

Przyjmujemy, że na trzy powyższe, zasadnicze pytania, otrzymamy pozytywną odpowiedź. Należy wówczas utworzyć **rejony hodowli bażanta,** zatwierdzone przez Ministerstwo Leśnictwa i obowiązujące.

Jakkolwiek poszczególne centra hodowlane mogą być początkowo tworzone na niezbyt dużej przestrzeni, bowiem wystarczy — 1.000 ha, to rejon hodowlany nie ograniczałby się nawet do powiatu, lecz powinien obejmować przestrzeń jednego województwa.

Proponowanymi przeze mnie do tego celu województwami, byłyby:

1) śląskie (z wyłączeniem terenów górskich),
2) poznańskie,
3) łódzkie,
4) bydgoskie.

Nie wykluczam także, że gdy hodowla w powyższych województwach stanie na właściwym poziomie, możemy rozszerzyć ją też na inne województwa.

Na przestrzeni takiego województwa obowiązywałyby jednolite przepisy hodowli i ochrony bażanta, niszczenia drapieżników oraz specjalne instrukcje prowadzenia polowań na bażanty. Wszyscy i wszędzie, szczególnie zaś organa bezpieczeństwa na całej połaci rejonu, musieliby — po otrzymaniu właściwych instrukcji i przeprowadzonej w tym celu propagandzie — współdziałać w tym ogólnopaństwowym zamierzeniu.

Zaznajomienie i propagowanie wśród ludności celowości i racjonalności hodowli bażanta byłoby obowiązkiem terenowych kół łowieckich, a ściślej, delegowanych przez kółka — myśliwych. Myśliwi ci, otrzymaliby od PZŁ fachowe broszury oraz instrukcje hodowlane i propagandowe, i byliby obowiązani złożyć przed władzami PZŁ egzamin z zakresu znajomości hodowli bażanta.

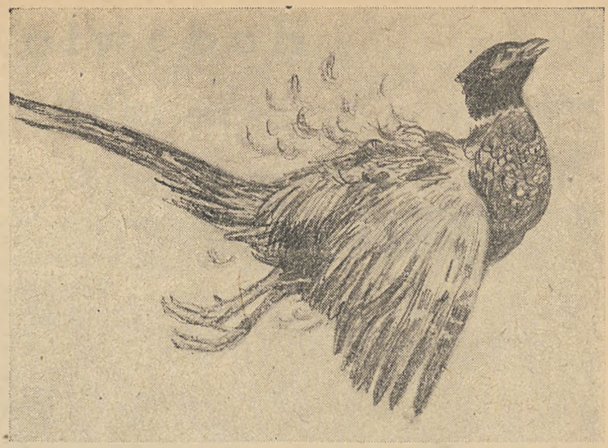
Proponowany przeze mnie ogólny podział pracy dla czynników, biorących udział w odbudowie hodowli bażanta, byłby następujący:

1) Ministerstwo Leśnictwa:

a) ogólna kontrola całokształtu hodowli w całym kraju;
b) wydanie czasowych rozporządzeń, dotyczących ochrony hodowli i jej użytkowania oraz spowodowanie zatwierdzenia sankcji karnych dla nie poczuwających się do obowiązku odbudowy (hodowli), szczególnie zaś, dla szkodzących odbudowie;
c) zatwierdzanie wniosków, składanych przez PZŁ, odnośnie tej hodowli.

2) Polski Związek Łowiecki:

a) przygotowanie i przedkładanie Ministerstwu Leśnictwa wniosków ogólnych;
b) zrewidowanie dla zatwierdzonych rejonów hodowlanych czasów ochronnych dla drapieżników czworonożnych i skrzydlatych, mających obecnie czas ochronny (jak np. kuna leśna), jak i samych kogutów bażancich, których odstrzał w celu unormowania stosunku płci powinien być przeprowadzany na wiosnę w sposób, którył jak najmniej niepokoił zwierzynę;
c) kontrola terenowa w postaci delegowania ze swego ramienia przedstawicieli dla kontroli polowania;
d) rozprowadzanie broszur i instrukcji oraz egzaminowanie myśliwych, delegowanych przez kółka dla hodowli bażanta;
e) pośrednie lub bezpośrednie prowadzenie dochodzeń o wykroczeniach.



Strzelony bażant rys. S. Rozwadowski

3) Spółdzielnia „Jedność Łowiecka“:

a) dostarczanie ze swych hodowli wolierowych materiału hodowlano-zarodowego,
b) wydanie broszur i instrukcji hodowlanych,
c) dostarczanie kołom sprzętu i urządzeń hodowlanych, jak: pułapki itp.,
d) skupowanie bażantów bitych i żywych.

4) Koła łowieckie:

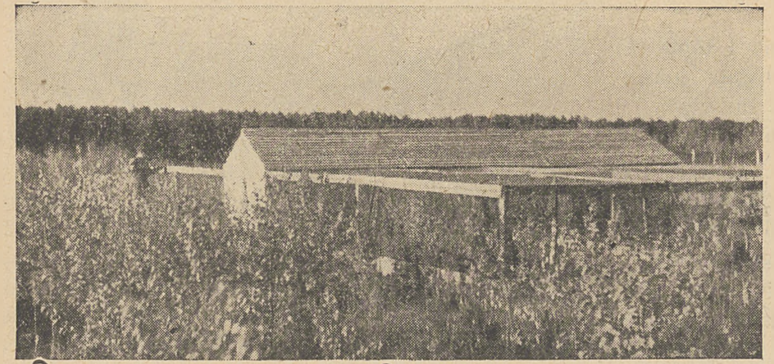
a) hodowla na swych terenach bażanta, jako zwierzyny łownej,
b) ochrona terenów własnych, jak i terenów niedzierżawionych, a leżących na połaci rejonu hodowlanego,
c) propagowanie hodowli bażanta wśród ludności miejscowej.

Zaznaczyć chcę, iż kółka będą mogły otrzymać zarodowy materiał hodowlany od Spółdzielni „Jedność Łowiecka“ w formie pożyczki, a już w pierwszym roku hodowli wyciągną korzyść w postaci odstrzelonych wiosną kogutów nadliczbowych.

Racjonalne było by także wprowadzenie między kółkami współzawodnictwa.

Spółdzielnia „Jedność Łowiecka“ poczyniła na odcinku hodowli bażanta pierwsze kroki. Posiada bowiem w tej chwili ośrodki hodowlane, gdzie prowadzi wolierową hodowlę bażantów. Ale przy racjonalnej hodowli wolierowej konieczne jest jednocześnie posiadanie łowisk otwartych i na tym odcinku Spółdzielnia napotyka na pewne trudności, spowodowane brakiem współpracy w terenie. Opisany powyżej plan hodowli bażanta w Polsce posiada może pewne braki, niemniej jednak jest, zdaniem moim, możliwy do zrealizowania już w 1951 r., do czego całym sercem zachęcam.

Hodowla bażantów



Woliery w Żurawińcu

Lubelska Wojewódzka Rada Łowiecka w trosce o podniesienie stanu zwierzyny łownej na terenie woj. lubelskiego, zapoczątkowała w roku ubiegłym wolierową hodowlę bażantów, zwierzyny, która uległa całkowitej zagładzie na terenie woj. lubelskiego. W tym celu zakupiono w Czechosłowacji 30 sztuk tej zwierzyny (25 kur i 5 kogutów) i umieszczono ją w wolierach na jednym z terenów Rejonu Lasów Państwowych w Lublinie — w Żurawińcu. Z hodowli tej uzyskano około 80 jaj, które rozprowadzono za opłatą pomiędzy kilka towarzystw myśliwskich na terenie woj. lubelskiego, dla zapoczątkowania przez nie hodowli tej zwierzyny na własnych terenach łowieckich. Niestety, z przyczyn Radzie nieznanych, wyląg z tych jaj był minimalny, gdyż wynosił zaledwie ogółem 4 szt., wskutek czego wysiłki Rady zmierzające do rozmnoży bażantów nie dały w roku ubiegłym pozytywnych rezultatów. Ponadto na jednym z ostatnich swoich posiedzeń Lubelska Wojewódzka Rada Łowiecka postanowiła po za hodowlą wolierową, zaprowadzić także i hodowlę na dziko na tym samym terenie, posiadającym doskonałe warunki dla takiej hodowli.



Wspomnienie z zajęczych polowań rys. J. Korolkiewicz

PROF. DR STEFAN LEWICKI

Wilki, sarny, dziki...

NIE bardzo rozumiem, dlaczego dotąd na łamach Łowca nie zostało poruszone zagadnienie wilków w Polsce. Kiedy przed wojną o wilkach — nader zresztą nielicznych — aż się roiło w myśliwskiej prasie (wprawdzie tylko od strony fabularnej), dzisiaj, gdy wilki stają się poważnym niebezpieczeństwem łowiecko - gospodarczym, jakoś nie mówi się ani o szkodach przez nie czynionych, ani o sposobach i środkach redukcji tego groźnego szkodnika. Czy będziemy czekali ich podejścia aż do stolicy, zupełnego wyniszczenia pogłowia sarn, czy też coś będziemy radzili już teraz?



Wilki rys. J. Ryszkiewicz

Ponieważ w woj. lubelskim wilki są obecnie, prawdopodobnie, najliczniej reprezentowane, chciałbym podać o nich parę bliższych informacji na podstawie oficjalnych raportów z państwowych lasów naszego rejonu. Na — mniej więcej — koniec zimy 1949/50 roku, wilki objęły tu już następujące powiaty: Włodawa, Biała Podlaska, Hrubieszów, Radzyń, Chełm, Łuków, Janów, Biłgoraj i Zamość. Zatem terenowo znaczna większość województwa, jeżeli nie prawie całe, zważywszy, iż w czasie wędrówek zimowych wilki notowane były w lasach kozłowieckich o niecałe 15 km od Lublina (w kierunku półn. wschodnim). Ich stan liczebny na wymieniony wyżej czas został podany na 131 sztuk, z czego najmniej jedna trzecia przypada na lasy pow. włodawskiego, nad Bugiem.

Ponieważ duża ruchliwość wilków w okresie zimowym nieraz zapewne spowodowała dwukrotne zaliczenie tej samej partii w sąsiadujących ze sobą lasach, dlatego podany stan wilków zredukujemy dla pewności do połowy, zatrzymując się tylko na bardziej realnej liczbie: około 65 sztuk. Jeżeli teraz przyjmiemy stosunek płci u tej ilości wilków jak 1:1, wówczas ok. 32 wader, wydając przeciętnie po troje szczeniąt, może w bieżącym roku powiększyć stan wilków o nowych 96 sztuk, czyli ich liczebność na jesieni r. b. w naszym województwie może się przedstawiać następująco: 65 starych i 96 młodych = 161 sztuk.

Na tym tle nie trudno sobie odmalować nasze obawy nie tylko co do poprawy pogłowia sarn na lubelszczyźnie, ile w ogóle o ich zachowanie. Nazbyt optymistyczne, moim zdaniem, obliczenia podają, że sarn mamy jeszcze ok. 2000 szt., co już jest liczbą zupełnie zatrważającą. Wszystkie nasze obserwacje wskazują nadto, że od 1945 roku liczba sarn w większych kompleksach leśnych spada, a o ile, w nielicznych zresztą przypadkach, podnosi się, do tyczy to małych lasów, raczej odosobnionych, otoczonych polami. Jeżeli, bez większego zresztą ryzyka, przyjmiemy, iż wszelkiego rodzaju kłusownictwo łatwiej jest uprawiać w lasach małych niż dużych, wyjaśnienie powyższej pozornej sprzeczności znajdziemy właśnie w fakcie postępującego wyniszczania sarn w większych lasach przez wilki. Na to, że sarny są ich podstawowym pokarmem, zdają się wskazywać także stosunkowo niewielkie, jak dotąd, straty czynione przez wilki w domowych inwentarzach.

Nie wymaga chyba uzasadnienia, że wartość gospodarcza i łowiecka sarn jest tak znaczna, zaś niebezpieczeństwo rozpanoszenia się wilków już nie tylko w woj. lubelskim, ale w całym niemal kraju, jest tak groźne, iż bezzwłocznie należy już przystąpić do przedyskutowania i realizacji środków zaradczych. Dotychczasowe efekty odstrzału wilków na polowaniach kółkowych czy obławach administracyjnych są zgoła nikłe (zeszłej zimy bodaj 3 sztuki). Lecz jednocześnie musimy chyba przyznać się, że nie stać nas tutaj ani finansowo, ani nawet organizacyjnie na urządzanie jedynie skutecznych polowań na wilki, tj. z fladrami. Te ostatnie, jak na obecne możliwości czy to poszczególnych kółek, czy nawet Woj. Rady Łowieckiej, są zbyt kosztowne, a oprócz tego jest mocno wątpliwe, czy komukolwiek z nas czas by pozwolił na bliższe zajęcie się tego rodzaju organizacją polowań. Nie sądzę nadto, by to było w ogóle możliwe bez najbliższego współdziałania administracji lasów. Do tego muszą stanąć ludzie doskonale obeznani nietylko z terenem, ale niemniej z fachowym obkładaniem zwierza po tropach. Takich ludzi było w ogóle bardzo mało, a wcale w naszym województwie, gdzie do ostatniej wojny wilk był największą rzadkością.

Dlatego myślę, że utworzenie odpowiedniej komórki dyspozycyjno-technicznej do organizacji polowań na wilki winno przejść w ręce Samodzielnego Wydziału Łowiectwa Ministerstwa Lasów i naszej Centrali w Warszawie. Pod ich kierunkiem i przejęciem na siebie głów-



nego ciężaru finansowego, miejscowa Rada Łowiecka, a myślę także, że i Rejon L. P. w Lublinie, będą niewątpliwie starały się okazać najdalej idącą pomoc.

Pragnę tu w każdym razie podkreślić, że przed istniejącą w naszym województwie groźbą wyniszczenia przez wilki sarn, sami jesteśmy zupełnie bezsilni, a jeżeli mój głos nie wywoła odpowiedniego echa, niech nas nikt nie wini za obojętność lub zaniedbanie poruszonej sprawy.

Przechodząc teraz do sprawy dzików w ogóle, a w naszym województwie w szczególności, muszę najpierw stwierdzić, że wytworzyła się „dzicza psychoza". Dowiedzieliśmy się, że atmosferę tej psychozy gdzie niegdzie wcale umiejętnie wyzyskano, czerpiąc z wyniszczenia dzików znaczne dochody. Psychozą tą — nigdzie lub mało gdzie zwalczaną — została tak ślepo i jednostronnie dotknięta pewna część mało uświadomionego naszego społeczeństwa, iż szkody poczynione przez dziki w polach są wyolbrzymiane niemal do rozmiarów klęski narodowej, a niekiedy już samo wyjście dzików z lasu na pola powoduje zarządzanie obław w trybie administracyjnym *).



W drągowinie fot. B. Dziudzia



Otóż małe uświadomienie części naszego społeczeństwa polega na niezrozumieniu następujących faktów:

1) jakkolwiek szkody czynione przez dziki w polach mogą być znaczne, są one niczym w porównaniu z przynoszonym przez też dziki pożytkiem w lesie. Teza ta została dokładnie i fachowo naświetlona i udowodniona w zeszycie nr 6 za r. ub. Łowca przez inż. Habera;

2) szkody czynione przez dziki w polach są niczym w porównaniu do olbrzymich strat w rolnictwie czynionych przez niektóre owady (np. mszyce, wołek zbożowy itd.) oraz grzybki pasożytnicze (np. rdza, śnieć i niezliczone mnóstwo innych). Jest tylko ta różnica, że o ostatniej kategorii szkodników pisze się dużo w pismach fachowo-zawodowych, a nader mało w gazetach, gdy o dzikach jest akurat odwrotnie;



Buchtujący dzik

*) Słyszałem osobiście opowiadanie „naocznych świadków", iż pewnego razu ogromny tabun dzików w hrubieszowskim uniemożliwił orkę traktorów.

3) nie jest ścisłym twierdzenie — nawet niektórych leśników — iż dziki uniemożliwiają nasadzenie dębowych drzewostanów. Tacy powierzchowni obserwatorzy zapominają widać, iż nie tak dawno dąbrowy w naszym kraju były dość pospolite, a równocześnie dzików było znacznie więcej. Natomiast istota rzeczy polega na tym, iż właśnie wyniszczenie dębowych lasów, a co najmniej mieszanych, powoduje buchtowanie dzików w świeżo nasadzonych dąbrowach, a i to często nie tyle w poszukiwaniu resztek żołędzi, ile że są to miejsca o żyźniejszych glebach, a zatem i większej obfitości owadów i ich larw. Nie będziemy mieli na pewno omawianych szkód przy zachowaniu dwu tylko warunków: upowszechnienia dębu, względnie dokarmiania dzików;

4) u podstaw „dziczej psychozy" leży niejednokrotnie brak biologicznego podejścia do zagadnienia, czy też brak umiejętności do takiego podejścia. Zostało bowiem stwierdzone na niezliczonych przykładach i w oparciu o głębokie studia, że interwencja człowieka w dziedzinie naturalnych układów poszczególnych składników przyrody, inaczej mówiąc naruszenie określonej pewnej równowagi biologicznej zarówno w świecie roślin, jak i zwierząt, względnie wzajemnego ustosunkowania się tych dwu światów, — wywołuje z reguły, wcześniej lub później, katastrofę lub co najmniej wstrząs gospodarczy. Wystarczy wspomnieć o niemieckim systemie sadzenia nibylasów o jednolitych drzewostanach i spowodowanym przez to niebywałym rozmnożeniu się specyficznych owadzich szkodników, lub o wyniszczaniu lasów poniżej niezbędnej normy, a w związku z tym groźnymi zmianami klimatycznymi, nasuwaniu się piasków na żyzne ziemie oraz braku miejsc gniazdowania dla ptaków śpiewających i innych, a w ślad za tym postępujących klęsk w rolnictwie. Przeciwdziałanie temu widzimy właśnie w godnych najwyższej pochwały i naśladowania metodach radzieckich sadzenia ochronnych lasów nawet tam, gdzie ich przedtem nie było.



Warchlak odbity od stada fot. W. Puchalski

Podobnie rzecz się przedstawia z dzikami, bo jakkolwiek słyszymy i czytamy np. o próbach ochrony lasów przed niektórymi szkodnikami nawet przy pomocy rozpylania owadobójczych środków przez samoloty, tym niemniej można mocno powątpiewać, czy jakakolwiek maszyna lub sam człowiek jest w stanie zastąpić dzika w jego nieobliczalnej wprost wartości uwalniania lasów przed wszystkimi szkodnikami żerującymi pod powierzchnią ziemi.

Jeżeli wciąż pozostaje trudna, jakoby, do rozwiązania kwestia wysokich odszkodowań za straty rolnikom spowodowane przez dziki w polach, to nawet pozostawiając na boku bilansowanie się tych strat pożytkiem czynionym przez też dziki w lasach, proponuję, by Centralny Zarząd Lasów zalecił w każdym Rejonie utworzenie przynajmniej dwu takich doświadczalnych leśnictw, gdzieby dziki były dokarmiane. Musi ono polegać jednak nie tyle na wywożeniu padliny, ile na zakładaniu w odpowiednich miejscach poletek z bulwą i mieszankami innych roślin pastewnych. Jednocześnie można przecież zastosować ochronę przyleśnych upraw środkakami wcale niekosztownymi, jak smarowanie co pewną odległość drzew silnie woniejącymi substancjami oraz rozwieszanie chorągiewek i straszaków.



fot. Z. Kowalski

Że można wówczas pogodzić dobry stan dzików z nieznacznymi przez nie czynionymi szkodami w sąsiednich uprawach rolnych, tego mieliśmy przed wojną liczne dowody w niektórych wzorowo prowadzonych łowiskach.

„Dążyć należy nie do bezmyślnego wybijania dzików, ale w imię zagrożonych lasów do ich ochrony".

Pod tą jedynie słuszną tezą inż. Habera i ja się podpisuję.



Łoś i wilki Julian Fałat

ZBIGNIEW KOWALSKI

NOSIŁ WILK RAZY KILKA...

ROK 1948. Wystawa Ziem Odzyskanych we Wrocławiu.

Wykańczamy urządzanie pawilonu łowieckiego. Na tarasie zalanym jaskrawym światłem słonecznym trwają ostatnie przygotowania. Rogi są przecierane mokrymi szmatkami, wypchanym ptakom wygładzamy misternie piórka.

Wokół pawilonu stare drzewa parkowe znieruchomiałe w skwarnym lipcowym popołudniu, poniżej toczy swe modre fale Odra.

Opięty w szary roboczy kitel stawiam właśnie na ziemi ciężki wieniec jeleni, gdy nagle wyrasta przede mną szczupły, opalony leśnik w mundurze ze sporym zawiniątkiem pod pachą.

— Czy nie potrzeba wam na pokaz wilków?

— Naturalnie. Co prawda katalog jest już wydrukowany. Ale pokażcie futra.

Leśnik rozwija paczkę. Na podest tarasu wylewają się wspaniałe, ciężkie, puszyste, mieniące się w słońcu srebrem skóry. Płowy o czarniawym grzbiecie basior i brązowawa o białym podbrzuszu wilczyca.

— Piękne wilki. Piękne. Gdzieście je zdobyli kolego?

— W Sudetach w czasie ubiegłej zimy. Nieopodal Jeleniej Góry.

Skóry te zdobyły na Wystawie w roku 1948 klinkierowy kominek w naszym pawilonie.

Według niemieckich źródeł ostatni wilk w Sudetach zabity był w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia.

*

KONIEC lutego 1949 roku Jadę służbowo samochodem do Lublina na Garwolin i Ryki.

Noc jest ciemna, bezgwiezdna. W światłach far polatuje wielkimi płatkami mokry śnieg. Szosa jest mokra i zła, podróż monotonna. Toteż oczy kleją się coraz bardziej. Raz po raz dręczą mnie jakieś męczące majaki. Tkwiący na brzegu szosy kamień zamienia się ni stąd ni zowąd w szorującego drogą zająca, to znów furmanka, którą wymijam otsrożnie, przekształca się niespodziewanie w przysypaną śniegiem pryzmę kamieni.

Jesteśmy już niedaleko Lublina, szosa przebiega lasem. Nagle w światłach reflektorów bardziej wyczuwam niż widzę płową niewyraźną plamę. Noga przydusza automatycznie pedał hamulca. W tej samej chwili niezgrabnym płaskim susem wyskakuje tuż sprzed zderzaka w ciemność olbrzymie wilczysko.

Ułamek sekundy a byłbym zwierza przejechał, lądując prawdopodobnie od uderzenia w przydrożnym rowie.

Cofam spokojnie Willysa do tyłu, aby sprawdzić, czy nie uległem przywidzeniu. Budzą się towarzysze podróży. Wysiadamy. Nie, to nie było przywidzenie. Na białej, wśród ścian leśnych, szosie widać wyraźnie pieczątki wilczych łap.

A sztuka była ogromna.

*

GRUDZIEŃ roku 1950. Nadleśnictwo Sławki w powiecie makowskim, województwa warszawskiego.

Zmierzcha się tak nagle i szybko, że ostatni miot bierzemy już o szarej godzinie. Mgła wisi w powietrzu, przydymia kontury wyniosłych drzew w rezerwacie, zasnuwa, uciekającą perspektywę linii w młodniku, popielatym welonem.

Stoję samotnie na zatropie. Pogwar naganki oddala się, milknie. Głos klekotek dolatuje jakby spoza zasłony. Dobitny pojedyńczy strzał na linii ginie w lesie bez echa, zmatowiały, nikły.

Nagle tuż przede mną w gąszczu trzasnęła krótko, urywanie pęknięta gałazka. Trzasnęła tak charakterystycznie, specjalnym dźwiękiem, że kto go raz usłyszy zapamiętać musi na zawsze. Gąszczem szedł wielki drapieżnik o puszystych, ostrożnych łapach, delikatnym chodzie i ciężkim ciele.

Gałązka trzasnęła raz jeszcze, teraz już bliżej linii. Podniosłem broń do oka. Jeszcze chwilka i na szarym tle duktu stanął szary zwierz. Przygarbiony był, o wielkim trójkątnym łbie, schylonym ciężko ku ziemi i, podkulonym pod siebie, pękatym ogonie.

Wolno przesunął się wylot luf sztucera w kierunku sylwetki zwierza. Lecz muszki nie można już uchwycić wzrokiem. A strzał po szynie na 100 kroków nie miał zupełnie sensu.

Opuszczam broń. Wilk bezszelestnie niknie w zagaju, jak duch.

WILKÓW, jak po każdej zresztą wojnie, sporo. Nie jest ich może tak dużo, jak podaje prasa, myśliwi optymiści i chłopi poszkodowani na inwentarzu domowym. Wilk bowiem jest bardzo ruchliwy, łatwo może się przenosić w ciągu nocy o 40 i więcej kilometrów, tu i tam wyrządzając szkody. Niemniej wilków jest dużo, pogłowie ich na terenie całego kraju wynosi około 500 sztuk. Ponadto zasięg występowania wilków rozszerzył się znacznie. Wilk na Mazurach, w Lubelszczyźnie, białostockim, i rzeszowskim stał się zwierzęciem pospolitym i występuje nagminnie. W warszawskim, kieleckim i krakowskim znachodzi się miejscami, a nawet zakłada gniazda lęgowe. W innych województwach pokazuje się sporadycznie, tak, jakby wędrował do swych dawnych ostoi sprzed stu lat.

Tam gdzie wilk zaczął występować w większych ilościach pogłowie zwierzyny płowej zmniejszyło się poważnie. Sarna w Lubelszczyźnie ginie. Jeleń we wschodniej części Mazur został zdziesiątkowany. A co najważniejsze wilki stały się groźne dla inwentarza, a szczególnie owiec w woj. rzeszowskim na Podgórzu.

Należy zatem przystąpić do radykalnego obniżenia ilości wilków i do ograniczenia zasięgu ich występowania do miejsc ich stałych ostoi jak: Puszcza Białowieska, Augustowska, Zachodnie Karpaty i Beskidy.

Polowanie na wilki jest jednak bardzo trudne i mało owocne. Wilk jest zwierzem wyjątkowo inteligentnym, obdarzonym świetnie rozwiniętymi zmysłami i wielką intuicją.

Rozróżniamy następujące sposoby polowania na wilki:

a) na zasiadkę,
b) na nagankę,
c) z fladrami.

Podaję trzy sposoby polowań na wilki, jednak wszelkie polowania, poza polowaniami z fladrami, dają minimalne rezultaty i ograniczają się do spotkań przypadkowych. Zaznaczyć należy, iż łowy, o których wspomina literatura jak: z prosiakiem, chartami, sieciami, specjalnymi psami wołkodławnymi, wilczymi dołami i zagrodami, oraz na wabia należą już dzisiaj w granicach naszego kraju do wspomnień bez praktycznego znaczenia, czy też stały się legendą opowiadaną przy lampie wieczornej.

A) POLOWANIE NA ZASIADKĘ

Aby wilki zanęcone padliną zaczęły regularnie odwiedzać karmę należy zakładać żer w miejscach odpowiednich i w sposób właściwy.

Prawidłowo wybranym miejscem będzie niewielka halizna, położona w bezpośrednim sąsiedztwie gąszczu bądź leśnego bagna, zarośnięta rzadkim starodrzewiem i jałowcami. Miejsce takie winno poza tym leżeć w części kniei, cichej i głębokiej, gdzie nie jest prowadzona eksploatacja, oraz w pobliżu przesmyków wilczych i niezbyt daleko uczęszczanej drogi.

Wskazanym jest też kłaść padlinę w tych samych miejscach, gdzie była już ona zadawana wilkom w poprzednich latach. Odnalezienie świeżo położonej padliny można ułatwić głodnemu zwierzowi przez wleczenie obwłoki za saniami przez przesmyki wilcze ku karmie.

W miejscu, gdzie ma być położona padlina, należy uprzednio pobudować ambonę. Ambona musi być szczelna z okienkami, aby dawała osłonę przed mrozem i wiatrem oraz solidna, aby nie skrzypiała za lada poruszeniem.

Zasiadając na ambonie należy podjeżdżać możliwie tak blisko, aby wejść bezpośrednio z sań na stopnie drabinki. W razie jeżeli musimy dojść do ambony pozostawiony ślad trzeba przysypać nawozem bydlęcym lub końskim. Zachowywać należy się na ambonie cicho i spokojnie, nie palić i nie rozmawiać. Wilki przychodzą do padliny nieregularnie, ani co do dnia, ani co do godziny, toteż do strzału musi być myśliwy gotów w każdej chwili. Ponadto winien się uzbroić w wielką cierpliwość, gdyż aby dostać wilka trzeba często przesiedzieć o chłodzie kilka lub kilkanaście nocy na ambonie.

Strzelać należy do wilka na zasiadce kulą przez lunetę lub śrutem 000 (4,5 mm). Składać trzeba się spokojnie, powoli i bezszelestnie, gdyż wilk nawet zajęty rwaniem mięsa zachowuje świetny słuch i wzrok. Ze strzałem też nie należy się spieszyć, czekając aż wilki podejdą do padliny i rozpoczną ucztę albo też, gdy pokaże się zza chmury księżyc

Ze strzałem do przypadkowych lisów czy dzików, które często odwiedzają karmę bezwzględnie trzeba się wstrzymać, gdyż strzał zepsuje niewątpliwie wielogodzinne i żmudne przygotowania i oczekiwania.

Ubierać na zasadkę winien się myśliwy możliwie jak najcieplej. Filce, kożuch i futrzana czapka są niezbędne, aby nie spłoszyć czujnego zwierza zabijaniem rąk, rozcieraniem uszu czy przytupywaniem.

Czaty udają się też sporadycznie przy zarżniętej przez wilki łani czy innym zwierzu, ewentualnie w bezpośrednim sąsiedztwie zabudowań, gdzie wyłożono padlinę lub gdy wilki lubią dane obejście odwiedzać dla polowania na psy czy podkopywanie się pod obórkę.

Przy podanych wyżej czatach w obejścu należy zasiadać 2 — 4 metry ponad ziemią na prowizorycznej ambonce bądź stryszku. Myśliwego znajdującego się na poziomie wilk poczuje od razu.

B) POLOWANIE Z NAGANKĄ

Spotkanie z wilkiem w miocie jest rzeczą rzadką. Przeważnie czujny zwierz spłoszony zachodzeniem naganki czy myśliwych uchodzi skrzydłami bez strzału, bądź też w czasie pędzenia tak kombinuje i kluczy, że wynosi skórę z obieży w całości. Jeszcze mniejsze szanse spotkania z wilkiem dają wielkie urzędowe obławy organizowane przez Prezydia Rad Narodowych czy nadleśnictwa z udziałem setek naganiaczy i dziesiątków myśliwych.

Zdarza się jednak, że na normalnym polowaniu zimowym w 10—20 strzelb przy 20—40 naganiaczach są wilki otropione, albo też łowczy spodziewa się ich obecności w miocie.

W podanym wyżej przypadku polowanie należy przeprowadzić według następujących zasad:

Łowczy rozprowadza myśliwych w idealnej ciszy przede wszystkim na tropy wejściowe i na przesmyki zwierza. Nagance, poza 3—4 ludźmi, znającymi dobrze las, poleca rozstawić się wokół ostępu, głównie w miejscach gęstych, pasach świerczyny, czy łozy i na dany sygnał trąbką poleca im zlekka przytupywać i zabijać ręce, w żadnym zaś przypadku hukać, krzyczeć czy nawoływać. W wypadku, gdy jest mało naganki można w miejscach, gdzie wilki mogłyby się przerwać przez linię, pozawieszać na drzewach derki końskie, kożuchy lub inne części ubrania.

Pozostali 3—4 osacznicy na ten sam sygnał trąbki ruszają powoli w miot, postukując po drzewach kijami, bądź dając od czasu do czasu



Na stanowisku fot. W. Tomek



Nosił wilk... fot. Z. Kowalski

sygnał trąbką. Naganiacze ci winni się posuwać gąszczarami i wzdłuż bagienek leśnych, bez krzyków i zbytecznych hałasów.

Przy zachowaniu tak cichego i ostrożnego pędzenia wilki mogą wyjść na stanowiska, a przy właściwym zachowaniu się myśliwych, dobrym ukryciu i niegorączkowaniu się w czasie strzału wynik polowania *może być* dodatni.

C) POLOWANIE Z FLADRAMI

Fladry, chorągiewki albo straszaki, są to kawałki czerwonej materii o kształcie prostokątnym, wymiaru 8 x 40 cm. Każda chorągiewka winna być obrębiona.

Fladry przymocowane są swym krótszym bokiem (8 centymetrowym) do linki grubości 2 do 3 mm, najlepiej konopnej, mocno zwiniętej. Chorągiewki przymocowane są do sznura jedna od drugiej w odległości 30 — 35 cm., licząc od środka każdej chorągiewki.

Fladry winny być sporządzone z bawełnianego materiału (kreton, perkal)lub podobnego, byle nie był on twardy i sztywny, tak aby lada podmuch wiatru, choćby najlżejszy, mógł chorągiewką poruszyć.

Kolor flader winien być czerwony lub jaskrawo pomarańczowy. Wszelkie inne kolory flader stają się w nocy niewidoczne (żółty, zielony) albo też zlewające się z tłem lasu (niebieskł, pasiaste) czy śniegu (białe).

Komplet flader dla polowania winien wynosić co najmniej 3.400 m. bieżących, czyli około 10.000 sztuk chorągiewek, a to w/g następującego obliczenia. W/g normalnego podziału przestrzennego w lasach państwowych należy posiadać komplet flader, który umożliwi otoczenie dwóch oddziałów 750 m. (długi bok oddziału) x 2) + (400 m. krótki bok oddziału x 2) x 2 = 3.100 ., dodoliczając ca 10% na załamania terenu, zwis sznura i podobne, otrzymamy wymagane minimum 3.400 m. b. flader.

Fladry nawijane są w odcinkach 60 do 120 m. na szpulę z korbą, noszoną w ręku za uchwyt jak koszyk, lub na specjalnych nosidłach jak plecak na ramionach, bądź zakładane na widlasto zakończony z dwóch stron drążek, podobnie jak żyłka wędkarska na specjalną deszczułkę.

Ostatni podany sposób jest o tyle lepszy od szpuli, że pozwala na rozwijanie chorągiewek w czasie zamykania ostępu w sposób bezgłośny. Terkotu bębna nie można bowiem uniknąć, a hałas ten najzupełniej wystarczy, aby ruszyć tak bardzo ostrożne zwierzę jak wilk, szczególnie w czasie cichej mroźnej pogody.



Zaciąganie fladr

Polowanie z fladrami w pierwszej fazie polega na otropieniu i osznurowaniu wilków w otropionym ostępie. Pozornie zadanie to wydaje się łatwym, w rzeczywistości stanowi jedną z największych umiejętności łowieckich.

Pierwszym warunkiem, aby polowanie z fladrami było owocne stanowi rozpoczęcie już w późnej jesieni zadawania wilkom karmy — padliny. Zanęcone wilki zaczną ją brać, a nie straszone zalegać niezbyt daleko od miejsca żywienia.

Drugim warunkiem jest umiejętność właściwego otropienia. Poza znajomością samego tropu, tropiciel musi dokładnie orientować się w świeżości tropu i jego pokrętnych liniach. Branie tropu z nocy, kiedy wilk może przejść 30 — 40 km. aż do chwili zalegnięcia o poranku — to tylko strata czasu. Ślad z poranku pozwoli dojść do legowiska wilków w odległości 10 — 12 km.

Świeży trop poranny, jeżeli nie jest przypruszony śniegiem, czy nie zatrą go inne zewnętrzne okoliczności np. ślad sań czy człowieka, rozróżnić można od nocnego tylko drogą wieloletniego doświadczenia, nie kuszę się więc o podanie żadnych recept w tej materii, gdyż byłyby one zbyt powierzchowne. Poza tym tropiciel musi się orientować w jakich miejscach wilki lubią zalegać. Miejscami takimi będą: gąszcze świerkowe, bagna porosłe gęsto łozą i szuwarem, gęsto podszyty las typu puszczańskiego o licznych powałach i wiatrołomach, bądź tam gdzie wymienionych wyżej leśnych zakątków brak — zbite zagajniki sosnowe.



Zakładanie fladr
fot. A. Bądzyński



Przy fladrach fot .Z. Kowalski

Tropiciel winien też się zorientować czy tropi jedną czy więcej sztuk. Stado bowiem idzie zawsze trop w trop, jedynie zrzadka na drogach czy na burtach rowów, rozchodząc się na kilka śladów i dając rozwiązanie zagadki.

Tropić jest najlepiej dwoma małymi saneczkami, objezdżając miot jednocześnie dookoła przez dwóch tropicieli każdy z innej strony.

Jeżeli do godziny 13-tej w grudniu i styczniu, 14-tej w lutym otropimy wilki, można przystąpić do fladrowania. O godzinie późniejszej fladrowanie udaje się rzadko bowiem wilki, szykując się do przedwieczornej wędrówki, są ostre i przed zamknięciem ostępu wynoszą się w świat.

Fladrować najlepiej w dwie przeciwne strony jednocześnie. Fladruje każdą stronę dwóch osaczników. Jeden idzie możliwie najszybciej, rozwijając sznur ze szpuli czy widełek, drugi zawiesza fladry na krzakach czy drzewach.

Przy fladrowaniu należy zwracać baczną uwagę na zachowanie jak najdalej idącej ciszy oraz szybkości i dokładności wykonywanej pracy. Fladry (sznur) rozwieszamy na wysokości 60 cm. — 80 cm. nad ziemią, tak aby chorągiewki nie leżały na śniegu ani też nie były podciągnięte zbyt wysoko, dając możność przeczołgania się wilkowi dołem.

Wieszać fladry należy na drzewach bądź takich krzakach, które nie ugną się pod ciężarem i nie pozwolą opaść sznurowi na ziemię.

Jeżeli wiemy, że fladrowane wilki nauczyły się już przesadzać sznury, należy je otaczać w miocie mniejszym podwójnym sznurem. Dobre rezultaty daje zarówno otaczanie dwoma sznurami rozwieszanymi jeden nad drugim w odległości 60 do 80 cm., jak i jeden obok drugiego w odległości 1,5 — 2 cm.

Kropienie flader terpentyną czy innymi mocno pachnącymi specyfikami uważam za dopuszczalne tylko wtedy, gdy mamy do czynienia z wilkami, które fladry już przesadzały. Ponieważ jednak wydając silny zapach mogą spłoszyć wilki już podczas zamykania ostępu, lepiej używać tego sposobu w wypadkach wyjątkowych.

Po osznurowaniu ostępu możemy od razu przystąpić do polowania, jeżeli myśliwi są na miejscu i jeżeli pozostaje co najmniej 2 godziny światła do polowania, bądź też odłożyć polowanie do dnia następnego. Przetrzymywanie wilków w miocie dłużej niż 24 godziny uważam za niewskazane, gdyż zmęczone głodem i zdesperowane strachem zwierzęta łatwiej przesadzają fladry, psując w ten sposób polowanie na dłuższy czas. Szczególnie, że wilk, który nie respektuje fladry potrafi wyprowadzić często za sobą całe stado.

Druga faza — samo polowanie w fladrach winno mieć przebieg następujący. Pędzenie odbywa się przy pomocy cichej naganki przez 2 — 4 naganiaczy. Naganiaczami tymi winni być ludzie dobrze znający las, jak leśnicy, straż łowiecka czy robotnicy leśni. Naganiacze muszą się posuwać powoli, zrzadka tylko postukując po drzewach czy zagrywając co 100 — 200 metrów na trąbce. Jeżeli wilki nie chcą wytknąć na linię, czy też kluczą gąszczami, wskazanym jest aby naganiacze posuwali się tropem zwierza. Naganiacze, ruszając, mogą oddać jeden pojedyńczy strzał.

Wszelkie głośne naganki nawet przy użyciu kilku ludzi, wygrywanie arii na sygnałówkach, strzelanie ze ślepaków, użycie klekotek — powoduje, że wilki przerywają sznur i polowanie kończy się bezowocnie.

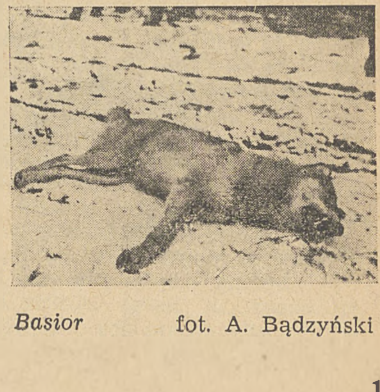
Myśliwych można ustawiać w/g dwóch systemów. Pierwszy polega na wyznaczeniu stanowisk na linii, która przecina miot na pół, drugi na rozgrodzeniu sznura na takiej przestrzeni, aby stworzyć obstawioną strzelbami furtę dla zwierza. Stawianie myśliwych wzdłuż nierozgrodzonego sznura, aby chybione czy spłoszone wilki wróciły w miot i strzelane były ewentualnie po raz drugi, uważam za niewskazane i powodujące, że w końcu drapieżniki przesadzą sznur.

W wypadku polowania systemem pierwszym należy myśliwych ustawiać przy sznurze gęściej (pierwszy 15 kroków, drugi 50 kroków od sznura), w środku linii zupełnie rzadko a jeżeli jest mało strzelb, to można tam myśliwych w ogóle nie stawiać. Miot pędzony powyższym systemem trwa długo. Nie należy się zrażać początkowym niepowodzeniem, gdyż wilki, wędrujące wzdłuż sznura, prędzej czy później podejdą na strzał.



Dublet fot. A. Bądzyński

Należy sznur przewiesić z boku ostępu w ten sposób, aby przechodził on do następnego oddziału poza linię



Basior fot. A. Bądzyński



Wilk spod Żywca

Przy otwieraniu sznura w/g systemu drugiego należy pamiętać, iż samo rozgrodzenie nie wystarczy. Należy sznur przewisić z boku ustępu w ten sposób, aby przechodził on do następnego oddziału poza linią łagodną formą zbiegającego się lejka i tam zdjęty i zebrany był w jedno lub kilka miejsc, a nie leżący na całej rozgrodzonej długości na śniegu. Kierunek pędzenia winien iść zawsze w stronę przesmyków zwierza, bądź tropu wejściowego z wiatrem jak kierunek. Pamiętać należy, że w razie nawet jeżeli wiatr jest niepomyślny wskazanym jest pędzić miot w kierunku przesmyków.

Jeżeli pozostawiamy wilki na noc w sznurach należy obejść cały miot dookoła i poprawić chorągiewki, jeżeli spadły na ziemie, w gąszczu przewiesić je na bardziej widoczne miejsca i wtedy dopiero wracać spokojnie do domu.

Rankiem przed polowaniem po raz drugi należy otropić miot dookoła, aby stwierdzić czy wilki nie wyszły. Ślady wilcze krążące wewnątrz miotu wzdłuż sznurów raz bliżej raz dalej od linii flader przekonają nas, że wilki otropione zostały prawidłowo i że polowanie się uda.

Strzał do wilka we fladrach jest przeważnie łatwy. Należy stać jednak na stanowisku bardzo spokojnie, ukryty za pniem lub krzakiem, nie rzucać gwałtownie strzelbą w kierunku, pokazującego się zwierza i nie strzelać daleko śrutem. Za najodpowiedniejszy śrut przy strzale do wilka uważam 000 czyli 4,5 m/m. Wszelkie strzelanie loftkami jest zawodne i nie należy ich *zupełnie* używać. Strzał pewny do wilków śrutem jest na odległość do 25 kroków. Strzał kulą dla dobrych strzelców godny jest polecenia. Wilk w przeciwieństwie do rogacza miękki jest na kulę a bardzo twardy na śrut.

Po strzale zdawałoby się nawet chybionym należy zawsze przetropić ślad, gdyż wilk pozornie zdrowy może dać po 40—60 krokach kilka kropel farby, a po 200—300 krokach leżeć martwy, trafiony 1—2 śrucinami na komorę. Strzał do wilka od tyłu jest w 99% bezskuteczny. Jeżeli jest kilka wilków w miocie należy pędzenie powtarzać po raz drugi i trzeci, a wreszcie wilk ranny uprzednio bądź młody wyjdzie w końcu na linię.

Po zakończeniu polowania fladry należy spokojnie otrzepać ze śniegu i zwinąć. Jeżeli polowanie kończy się późno, a miot jeżeli jest w nim kilka wilków może trwać kilka godzin, najlepiej zdejmowanie i zwijanie flader odłożyć na dzień następny, aby zrobić to porządnie i przy odpowiednim świetle.

Należy przypomnieć, że udane polowanie na wilki w fladrach wymaga żmudnych wysiłków i przygotowań, a z drugiej strony stanowi wielkie przeżycie łowieckie dla biorących w nim udział. Jednocześnie polowanie to przyczynia się do zlikwidowania nadmiernego pogłowia wilków, tak że od biorących udział w polowaniu należy wymagać specjalnej dyscypliny, wstrzymania się ze zbyt dalekimi strzałami i nie płoszenia zwierza sobie i sąsiadom przez niewłaściwe zachowanie się na stanowisku.

* * *

Na zakończenie zaznaczam, że artykuł niniejszy umieszczamy ze względu na liczne skargi chłopów a specjalnie chłopów rzeszowskich oraz hodowców zwierzyny płowej w lasach państwowych, którym wilki wyrządzają dotkliwe szkody w inwentarzu i zwierzostanie. Artykuł ten będzie stanowił uzupełnienie do dwóch kompletów fladr, które Polski Związek Łowiecki wykonał w ub. r. z przeznaczeniem dla polowań na wilki urządzanych w zagrożonych przez te drapieżniki terenach. Może zachęci on też Rejony Lasów Państwowych, Wojewódzkie Rady Łowieckie i Koła Łowieckie do wykonania kompletu fladr, jedynego sposobu na skuteczne zwalczanie wilków.



Fladry fot. W. Puchalski

Polowanie na lisy

LIS rozmnożył się po ostatniej wojnie w ilości nadmiernej. Występuje on we wszelkich prawie najmniejszych, choćby kilkunastohektarowych łowiskach i remizach, stał się też pospolitym mieszkańcem głębokich kniei, gdzie przed tym był tylko rzadkim gościem.

Wścieklizna, która w latach 1946-47 zdziesiątkowała lisy na Śląsku, i parchy, które zmniejszyły poważnie ilostan lisów na Mazurach, wygasły i lisów mamy znów nazbyt dużo.

To też pomimo cennego futerka i dużej emocji, jaką daje myśliwemu spotkanie z rudym mykitą, należy przystąpić do radykalnego zmniejszenia pogłowia lisów o conajmniej 50% w głębszych kniejach, a o 75% w lasach śródpolnych, stanowiących stałą ostoję sarn i bażantów.

Rozróżniamy następujące sposoby polowań na lisy:

a) z naganką,
b) z sygnałówkami,
c) z fladrami,
d) z podjazdu,
e) na czatach,
f) na wab,
g) z psami w jamach.

Polowanie z wykurzaniem lisa z jamy i kopanie lisów są sposobami nie myśliwskimi i podawać ich poniżej nie będę.



Portret lisa

A) Z NAGANKĄ

Lisy strzelamy na wszelkich polowaniach nagankowych, jako miły dodatek i okrasę do polowań czy to dziczych, czy też zajęczych. Niemniej jednak można organizować także specjalne polowania nagankowe na lisy z udziałem 8—12 strzelb.

Sam sposób takiego polowania powierzchownie podobny będzie do normalnych polowań nagankowych na drobną czy grubą zwierzynę — w istocie musi być oparty na zupełnie innych założeniach i odmiennej organizacji.

A więc przede wszystkim pogoda, aby polowanie na lisy było owocne, musi być odpowiednia: sucha, mroźna, przy słabym wietrze bez okiści, a w terenie błotnistym, czy pociętym rowami — po zamarznięciu bagien i wód. Na podaną wyżej ilość myśliwych wystarczy najzupełniej 10 naganiaczy. Naganka powinna iść cicho, **bez klekotek** i krzyków, zrzadka łamiąc gałązkę w ręku lub przytupując w miejscu. Zachodzenie zarówno naganki jak i myśliwych winno być ciche bez rozmów i niepotrzebnych hałasów. Czas ruszenia naganki winien być dokładnie określony wg uregulowanych zegarków Łowczego i kierownika naganki, gdyż podawanie sygnału trąbką od myśliwych po zajęciu stanowisk płoszy lisy w kierunku przeciwnym od linii.

Naganiacze winni być starsi, dobrze znający las i polowanie. Jako zasadę należy przyjąć, że kilku zdyscyplinowanych naganiaczy będzie lepszych, niż kilkunastu niesubordynowanych i hałaśliwych. Nie jest wskazanym pędzić mioty położone jeden obok drugiego, gdyż wystraszone strzałami i choćby najmniejszym hałasem lisy wynoszą się światami.

Plan polowania należy z góry ułożyć, uwzględniając kierunek wiatru, to znaczy — projektując pędzenia z wiatrem oraz typując do pędzenia właściwe ostoje lisów. Ostojami takimi będą zbite młodniki wśród gołoborza, bagniste mszary i łączki zarosłe trawą i trzciną, spuszczone stawy rybne zarosłe szuwarem, las gonny gęsto podszyty jałowcem, brzeźniaki 5—15-letnie. Oko myśliwego pozna zresztą nieomylnie mioty, w których mogą być lisy, pozna też miejsca przechodu lisów.

Zresztą miejsca, w których lisy się trzymają, są co roku prawie te same, jak i przesmyki, którymi wędrują, trwają niezmienne przez całe lata.

Przesmyk taki — to dolinka, pas trzcin czy świerczyny, bądź szyja lasu, łącząca jeden kompleks leśny z drugim. To też Łowczy, wyznaczając myśliwym stanowiska, nie powinien ich stawiać ściśle co 70 czy 80 kroków jeden od drugiego, a rozmieszczać tak, aby obstawione były gęsto przesmyki na czole i flankach, choćby najbardziej głębokich.

Po zajęciu stanowiska myśliwy winien się zachowywać spokojnie, nie palić, nie prowadzić zbędnych rozmów z sąsiadami, nie trzaskać głośno zamykaną bronią, nie przytupywać i nie załatwiać potrzeb naturalnych.

Z chwilą sygnału, zwiastującego ruszenie naganki, uwaga myśliwego winna być napięta, a broń przygotowana do strzału, gdyż lis może ruszyć natychmiast i wytknąć na linię w parę chwil po trąbce.

Składać do idącego lisa należy się powoli, nie śpiesząc się, by gwałtownym ruchem nie spłoszyć sznurującego mykity. Nie należy też strzelać w gąszczu przez krzaki, a wyczekać, aż lis spokojnie wyjdzie na linię, czy lukę między pniami.

Po strzale, jeżeli lis rusza się, a specjalnie gdy macha kitą, nie żałować drugiego naboju i lisa do-



Przy jamach fot. W. Puchalski

strzelić, ze względów zarówno dobrych obyczajów myśliwskich, jak i, co zdarza się często, możliwości zerwania się postrzelonego tylko czy ogłuszonego śrutami i ucieczki chytrusa mykity. Po strzale chybionym dobrze jest przetropić ślad ucieczki lisa, gdyż często leży on o kilkanaście kroków od miejsca strzału, którego otrzymania wcale nie zamarkował.

Strzelać należy śrutem Nr. 2 (3½ mm) do 0 (4 mm). Strzelanie loftkami daje opłakane rezultaty.

B) Z SYGNAŁÓWKAMI

W jedną do trzech strzelb można z powodzeniem polować na lisy z sygnałówkami. Polowanie to polega na tym, że trzech naganiaczy, w czym dwóch z sygnałówkami, pędzi miot z wiatrem i w kierunku stałych lisich przesmyków. Dwaj naganiacze z trąbkami idą liniami powoli, trąbiąc co 50—80 kroków, trzeci przedziera się środkiem miotu łamiąc gałązki.

Myśliwi, czy myśliwy, zajmują stanowiska na stałych przesmykach, oczekując na spotkanie bez ruchu.

C) Z FLADRAMI

Polowanie z fladrami na lisy polega na tych samych zasadach, jak polowanie na wilki. Lis mniej płochliwy jest dużo łatwiejszy do osznurowania i wypędzenia z miotu niż wilk, poza tym mykita prawie nigdy nie przesadza chorągiewek, jeżeli są one rozciągnięte prawidłowo — nisko tak, aby dotykały dolną krawędzią ziemi.

Polowanie z fladrami może być dwojakie. Pierwsze polegające na ogrodzeniu sznurami całego miotu, drugie — na fladrowaniu tylko skrzydeł bezpośrednio przed rozpoczęciem pędzenia.

Aby polowanie z fladrami dało dobre rezultaty, należy w miotach, gdzie znajdują się lisie jamy, pozatykać otwory.

Zatykanie jam w czasie niepogody winno mieć miejsce około godz. 12-ej w nocy, w dnie pogodne w 3—4 godziny po zachodzie słońca.

Zatykać jamy należy szczelnie i mocno specjalnie przygotowanymi ostro zaostrzonymi kołkami oraz uszczelniać gałęziami tak, aby lis zbyt łatwo nie usunął przeszkody. Można też wejście do jamy skropić terpentyną lub innym mocno woniejącym specyfikiem, co odstrasza lisa od wejścia do nory w 75%.

Sznurować możemy lisy specjalnie otropione na ponowie, bądź zamykać fladrami ostępy takie, w których stale lisy przebywają bez uprzedniego tropienia.

Osznurowany lis pędzony potrafi chodzić nawet kilka razy wzdłuż sznurów, a spudłowany, wróci po raz drugi pod lufę myśliwemu. Pędzić lisy w sznurach należy podobnie jak na specjalnej nagance na lisy, cicho i spokojnie — małą ilością naganiaczy. Najlepsze rezultaty da polowanie w razie odwilży czy deszczu rankiem do godz. 10-ej, po południu — od godz. 14-ej.

D) Z PODJAZDU

W połowie lutego, gdy głód zaczyna doskwierać drapieżnemu zwierzowi i zmusza go do dalekich wędrówek za żerem, lis wyrusza dniem na pola i łąki, aby polować na myszy. Najłatwiej spotkać lisa na polach w zadymkę, bądź mglistą wilgotną pogodę. Myszkującego lisa można z powodzeniem podjeżdżać sankami.

Kierujący końmi woźnica musi jednak posiadać pewną umiejętność podwożenia myśliwego. Nie należy więc jechać prosto na choćby najbardziej zajętego łowami lisa, a objeżdżać go zrazu wielkimi, potem coraz bardziej zacieśniającymi się kołami. Mykicie, który idzie zdecydowanie ostrym chodem w kierunku jam czy ściany lasu, można, mając ścigłe konie i szerokie, niewywrotne sanki, przeciąć łatwo drogę. Lis, który przywarował w czasie objeżdżania czy przecinania drogi ucieczki, daje się łatwo podjechać na 30—40 kroków, nie ruszając się z miejsca nawet wtedy, gdy wyśliwy wyskoczy z sanek dla łatwiejszego strzału.

Sań należy używać w zasadzie szerokich (rozwalni), niewywrotnych, gdyż jazda przeważnie odbywa się bezdrożem na przełaj. Konie winny być rącze i ostre, ale spokojne, reagujące na ruchy wodzów bez zbędnego szarpania i pokrzykiwania. Wszelkie bicia batem i głośne cmokanie na konie nie wróży powodzenia na podjeździe.



Na czatach...

E) NA CZATACH

Łowy na czatach przy padlinie na lisy są niepomiernie łatwiejsze i owocniejsze, wymagają też mniejszej cierpliwości niż polowanie na wilka, podobnie zresztą jak i polowania z fladrami. Dla znęcenia lisów do przychodzenia do padliny należy poświęcić dzień czy dwa dla włóczenia obwłoki po odwiedzanych przez lisy pobrzeżach pól i łąk oraz po liniach i drogach leśnych w miejscach lisich przesmyków. Nie należy żałować trudu przejechania kil-

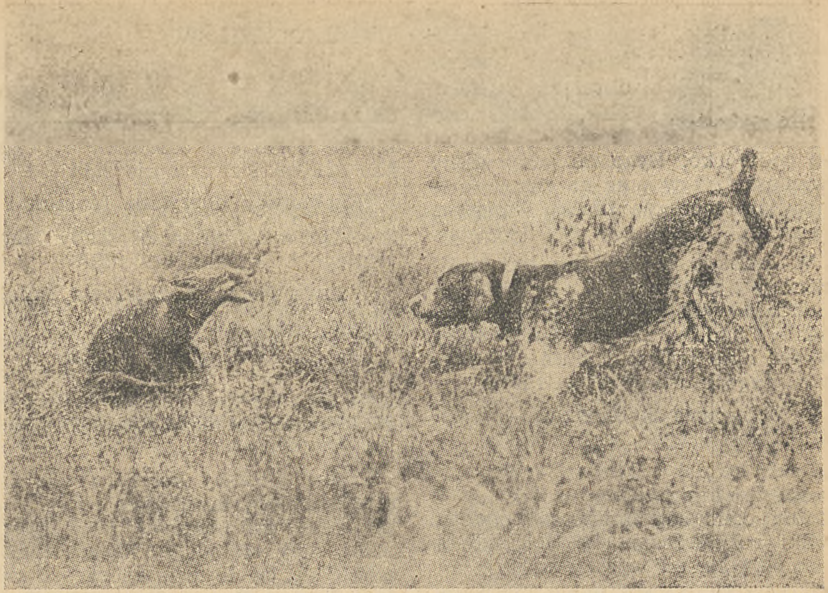
kunastu kilometrów, gdyż po takim przygotowaniu łowów w ciągu najbliższej nocy można się spodziewać nadejścia lisa do padła.

Jeżeli zauważymy, że lisy dwie, trzy noce przychodzą na żer, możemy śmiało zasiąść na ambonie. Zachowanie się na ambonie i ubranie, będą podobne jak w czasie zasiadki na wilka.

Stanowiska na ambonie należy zajmować też z zachowaniem odpowiednich ostrożności, robiąc nie więcej niż kilka kroków od podjazdu, który podrzucił myśliwego na miejsce zasiadki, zasiadywać należy na godzinę przed zachodem słońca, wybierając noce jasne i księżycowe, najlepiej gdy śnieg pokrywa ziemię.

Padlina winna być odwrócona jamą brzuszną w stronę stanowiska myśliwego, gdyż tam lis rozpoczyna i kontynuuje swą ucztę.

Strzał do mykity o zmroku czy wręcz w nocy jest trudny ze względu na niewielkie wymiary ciała lisa, to też aby był centrowany, wskazanym jest strzelać przez lunetę zarówno śrutem z trójlufki, jak i kulą ze sztuceru. Śrut należy używać Nr. od 0 — 4 mm do 2 — 3½ mm.



Wyżeł krótkowłosy kontynentalny doszedł postrzałka

F) NA WAB

Polowanie na wab, b. rozpowszechnione w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Niemczech, a u nas w woj. poznańskim, nie jest na ogół znane naszym kolegom myśliwym, a podkreślić należy, że jest ono najowocniejszym polowaniem na lisy. Niektórzy leśnicy i myśliwi dochodzili do wielkiej doskonałości, potrafiąc strzelać po kilka lisów dziennie. Niemniej umiejętność wabienia lisa, jak i każdego innego wabienia, wymaga specjalnego talentu, właściwego wabika i doskonałego nauczyciela.

Wabienie polega na naśladowaniu w dwóch rodzajach wabików: pisku myszy, bądź kniazienia postrzelonego zająca.

Wabić należy z rzadka. Jeżeli po 10—15 głosach, naśladujących pisk myszy, bądź po 3—6 krzykach, mających oddawać kniazienie zająca, lis nie przyjdzie, to wskazanym jest zmienić miejsce i wabić w innym odpowiednim do tego celu.

Spudłowany lis po raz drugi nie przyjdzie. W dni wietrzne i wilgotne wab nie udaje się, natomiast mroźna pogoda sprzyja polowaniu.

Wabiąc, należy wybierać rzadsze halizny w pobliżu zagajów, osłonięte miejsca jałowcem w brzozowym młodniku, nigdy odkryte polany czy zręby, na które lis na wab wychodzi nader niechętnie.

Wabienie z ambony daje słabe rezultaty, głos płynący z góry matowieje i zmienia barwę z bliska, często odstraszając idącego na wab z daleka lisa. Lis na wab przychodzi czasem galopem, czasem wolnym truchtem. Zawsze jednak uważnie oczy, to też do strzału trzeba być w każdej chwili przygotowanym. Dobre rezultaty daje polowanie na wab we dwóch — oczekując na lisy, myśliwy i pomocnik patrzą na dwie strony i nie mogą być przez lisa, który może przyjść z każdej strony, zaskoczeni.

G) Z PSAMI W JAMACH

Polowanie z jamnikami czy foksterrierami na lisy w jamach należy do pięknych i pełnych emocji polowań. Ponadto wymaga niebylejakiej wprawy strzeleckiej i szybkości orientacji.

Na polowaniu z psami w jamach należy wybierać dni wilgotne, posępne, deszczowe w godzinach od 10 rano do 14-ej. Najlepiej w okresie od 15 stycznia do 20 lutego, t. j. w okresie przed i w czasie cieczki lisów.

Przed wpuszczeniem psów do jam należy zatkać nadmiar otworów, których może być w jednym gnieździe nawet dwadzieścia, a pozostawić jedynie 1—3 otwory, które można mieć w zasięgu uwagi i bliskiego strzału. Po wpuszczeniu dobrego psa do jamy i oznajmieniu głosem, że jama jest zamieszkała, lis wyskakuje na powierzchnię czasem b. szybko, czasem odgryza się psu i wyskakuje po 10 — 15 minutach, rzadziej broni się przed psem parę godzin, to też trzeba być cały czas gotowym do strzału, a strzał będzie przeważnie szybki śrutowy. Jeżeli pies po dłuższej utarczce wyjdzie z nory, należy go wpuścić do innego otworu, gdyż w poprzednim lis ma wyjątkowo dogodną pozycję obronną i pies wziąć go nie może.

Po wyskoczeniu jednego lisa, należy uważać pilnie, czy nie wyskoczy drugi. Dobrze też psa puścić powtórnie do jamy, gdyż często w norach znajduje się parę lisów, co zdarza się szczególnie w czasie cieczki.

Polowanie na lisy należy do pięknych polowań — zdobyta skórka stanowi miłe i cenne trofeum. To też polowania na lisy nie należy organizować przed 1.X. na wschód od linii Gdańsk—Krynica, a po 20.X. na pozostałej części kraju. Przed podanymi wyżej datami futerko lisie nie jest jeszcze wartościowe i nie wolno go marnować dla przyjemności strzału.

Z jednej strony dobry obyczaj myśliwski w Polsce Demokratycznej bezwzględnie na to nie pozwala, z drugiej — nie wolno nam marnotrawić cennego materiału eksportowego.

To też projekt czasów ochronnych opracowany przez Naczelną Radę Łowiecką w dniu 16.XII.1950 r. sugeruje wprowadzenie czasu ochronnego na lisy od 1.III. do 30.IX.



Stosowanie żelastw do chwytania drapieżników jest zabronione prawem. Schwytany w żelazo lis — jak widzimy na zdjęciu — skazany jest na długie męczarnie i powolne konanie...

IWAN ARAMILEW

POJEDYNEK

Myśliwy Iwan Alifanow o północy ubrał się w kożuszek, wziął berdankę i wyszedł za podwórko. Było mroźno i cicho. Iwan patrzył w pole na zaspy śnieżne, siniejące w blasku księżyca i słuchał.

W lasku zawyła wilczyca. Zwabione jej głosem przybyłe wilki, po jednemu wybiegały z jaru na wzniesienie, siadały na śniegu i wyły. Wycie było tęskne, smutne, a człowiek tego słuchał ze wstrętem.

— Żeby was diabli wzięli! — krzyknął Iwan i wystrzelił w zaspę.

Śrut bekasi miękko bzyknął po skorupie zmarzniętego śniegu, niegłośne echo zagrzmiało nad polem. Wilki rozpierzchły się, jak gdyby roztopiły się od wystrzału.

Śnieg skrzypiał pod nogami. Iwan wracając do domu myślał: „na mróz tak chrzęści, i niebo wygwieżdżone". Patrzył na niebo i na ciche zaśnieżone pola, a myślał o wilkach; miał on z nimi stare porachunki.

Jedyny myśliwy głuchej wioski Wierchoturje, wiosną i latem wyszukiwał wilcze nory, niszczył młode. Wilki też nie pozostawały mu dłużne: każdej jesieni, kiedy zaczynało się polowanie, wilki w pierwszym rzędzie chwytały i rozrywały gończe psy Iwana. Ileż on psów stracił? Bywało kupi dobrego kostromskiego szczeniaka, wychowa, zaprawi do polowania, a z takim pomocnikiem to tylko trzeba by nosić, a nosić bielaki i lisy, ale niech tylko z pola wpadnie w zarośla — już psa nie ma.

Wierchoturje z dawien dawna słynne było z obfitości wilków, ten zaś rok był wyjątkowy. A kiedy wilki zimą złączyły się w stada, nocami napadały na wieś, spod wrót unosiły „Burki" i „Żuczki", podkopywały się pod ściany chlewów, do owiec. Kilometr od Wierchoturja, na wiejskiej drodze, zagryzły wilki staruszkę, Teklę Panową. To znowu w biały dzień napadły na dzieci szkolne. Ludzie bali się już pojedyńczo wychodzić ze wsi.

Iwan nie mógł jednak polować na wilki — nie miał loftek. On tylko z daleka płoszył je bekasim śrutem.

Przewodniczący kołchozu, Maksym Gawryłycz, wysłał pismo do miasta z prośbą, aby przyjechała brygada myśliwych. Iwan oczekiwał miejskich gości, chociaż nie wierzył w pomyślność obławy: stado w dzień zalegało na mszarze, który ciągnął się dziesięć kilometrów i porośnięty był gęsto jak żyto pędami osiczyny i brzozy. W takich miejscach nie można upolować zwierza, ani przy pomocy flag, ani też i naganki.

Myśliwi z miasta nie wiadomo czemu nie nadjeżdżali. Iwan nudził się tym i trapił.

Gdyby miał on amunicję, wywiózł by jaką padlinę za podwórze i strzelał by w nocy z zasadzki, a bekasim śrutem i zająca nie zabijesz.

Kołchoźnicy dogryzali Iwanowi:

— Cóż ty myśliwcze? Żebyś choć jednego zwierzaka stuknął!

Wdowa Nastazja Kozłowa śmiała się:

— Poczekajcie baby, jego samego wilki ściągną z wyżek i zeżrą go...

Kpiny te urażały Iwana, chodził on posępny i robota nie wiodła mu się pomyślnie.

Przewodniczący kołchozu nie darzył sympatią myśliwych, traktował ich jako próżniaków. Lecz kiedy wilki stały się plagą Wierchoturja, zrobił się on lepszy, zaczął odwiedzać Iwana. Z początku zarząd kołchozu uchwalił premię: za każnego zabitego wilka, pięć roboczo-dniówek, potem osiem. A przypuszczając, że Iwan Alifanow waha się i uchyla od tego, dodał jeszcze dwie roboczo-dniówki.

— Dziesięć roboczo-dni za zabicie wilka, czy to nie dobra cena? — z wyrzutem pytał Iwana przewodniczący.

— Bij, a bij — będziesz sławnym człowiekiem.

— Nie mogę... — trząsł kudłatą głową Iwan, a piegowata twarz jego boleśnie się marszczyła.

— Tu nie chodzi o cenę, dla ogółu i tak postarał bym się, ale amunicji nie ma. Wilkowi nic nie zrobisz gołą ręką.

— Należysz do związku myśliwskiego? — pyta go przewodniczący.

— Należę.

— Więc dlaczego nie nadsyłają przyborów?

— To też właśnie, że nie nadsyłają... — rozprawiał rękami Iwan. — Pisałem do rejonu, do miasta pisałem — obiecali przysłać, jednakże nie przysyłają...

— Lichy macie związek — złościł się przewodniczący.

— Ano lichy — potakiwał Iwan. — Proch wypuszczają, a grubego śrutu doprosić się nie można.

— A może gwoździ grubych narąbać — proponował Maksym Gawryłycz. — W gwoździe to ja jestem bogaty. Są rozmaite: okrągłe i kanciaste, z dużymi łbami, z małymi, do wyboru.

— Ale gdzież tam! — beznadziejnie Iwan machnął ręką. — Lufę zepsujesz w berdance, no i do celu nie doniesie. Gwóźdź on leci przecież bez pojęcia.

Przewodniczący zagniewany odchodził.

Iwan pozostawał sam ze smutkiem i ze swoimi nieodłącznymi myślami o wilkach.

I oto pewnego razu nauczycielka zawezwała Iwana, aby uporządkował na strychu szkolną własność. Od rana do wieczora grzebał się on w rupieciach. Były tu nagromadzone skrzynie, dziurawe koryta, zardzewiałe wiadra — rozmaite sprzęty z domu byłego właściciela posiadłości.

Więcej niż połowę tych gratów trzeba było wyrzucić przez dymnik na podwórze.

A w ocynkowanej skrzyni leżała jakaś cudaczna rzecz, coś nadzwyczajnego: zrobione z miedzianych pierścieni, pokrytych łuską z grubych żelaznych listewek, zmocowanych zawiaskami. Iwan wezwał nauczycielkę:

— Anna Pawłowna, co to za dziwna osobliwość?

Po namyśle powiedziała dziewczyna:

— Widzisz mój miły, to najprędzej zbroja rycerska.

— Zbroja? — zapytał Iwan wątpiąco.

Dalej objaśnia nauczycielka:

— W średnich wiekach w takich wyjeżdżali na wojnę. No, ale ta zrobiona cudownie: połączenie francuskiego z niżegorodskim. Jak ono się tu dostało? Być może właściciel kupił to gdzieś dla zabawy... Odnieś to do kowala, metal mu się przyda.

Iwan namyślał się trochę, potem zapytał jeszcze:

— Do kowala? A nie mógł bym to ja dostać za robotę?

— Proszę bardzo! Ale na cóż to tobie? Chcesz nosić? — pytała, uśmiechając się, nauczycielka. — A może na ciebie, rycerzu, to nie zmieści się?

— A pocóż go nosić — tłumaczył Iwan — biorę dla własnej korzyści.

— Bierz, bierz, proszę...

W domu Iwan obejrzał żelazny kostium, kombinując co do czego należy, oczyścił miejscami rdzę i zaczął wdziewać. Okazało się, że garnitur dobrze pasuje i leży znakomicie. Owalne części na łokciach i miadziane łuskowate falbanki na kolanach działały sprawnie. Zawiaski trochę skrzypiały — ale należy je tylko nasmarować, a będą służyły bez zarzutu.

Zakuty w zbroję Iwan przedeptywał przed lustrem, mrucząc:

— Cuda, to już cuda! Bo chociaż by strzelać do takiego stroju, to nie przepuści.

Wziął z ławki topór, zamachnął się w prawo, w lewo: nieźle, pancerz nie krępuje ruchów.

Do izby weszła żona.

— Oj dobrodzieje! — krzyknęła przestraszona — oj dobrodzieje!

— Nie wrzeszcz Jewdokia, to ja — powiedział Iwan, podnosząc przyłbicę i uśmiechając się swoim zwykłym, dobrotliwym śmiechem.

— A żebyś przepadł! — rozgniewała się żona. — Ja myślałam, że to wilkołak! Chciałam zwoływać ludzi. A gdzie żeś ty takie straszydło wynalazł?

— Gdzie wynalazłem, to nie ważne — odpowiedział Iwan. — ale to dopiero ważne, co ja z tym robić poczę... A ty tylko nic nikomu nie mów!...

Zdejmując z siebie pancerz, Iwan mówił:

— Dziś w nocy ubiorę się w to i pójdę na wilki.

— Sam jeden?! — podskoczyła z miejsca Jewdokia.

— Sam...

— Nie puszczę! One ciebie rozszarpią!

— Rozszarpią... — przedrzeźniał Iwan. — Takiej roboczej odzieży i toporem nie weźmiesz.

Po kolacji Alifanow zaczął się ekwipować.

Uciszyła się już Jewdokia i nawet pomagała mu zaciągać sznurkami i zamykać przemyślne zapinki i klamerki.

Na tę żelazną zbroję włożył kożuch bez pokrycia, ściągnął go pasem, a za pas zatknął topór.

Chodzić w takim sprzęcie wojennym było ciężko. Iwan ledwie przebierał nogami.

Kazał on żonie wsadziś w worek prosiaka.

Po tym Jewdokia zaprzęgła konia i powiozła męża poza wieś.

W polu odezwała się, szlochając:

— Moje serce czuje, że ja wiozę ciebie na śmierć!

— Nie becz! — surowo powiedział Iwan. – Nad ranem przyjeżdżaj tutaj po mnie.

Jewdokia pojechała do domu.

Na miedzy opodal lasku stała pojedyńcza, skrzywiona i opalona od pioruna sosna.

Iwan podszedł do drzewa, powiesił torbę z prosięciem na sęku, obdeptał śnieg i rozejrzał się:

Noc była jasna. Obok drzemał las, pokryty szronem.

— Czyżby mogły nie przyjść? — niepokojąc się pomyślał Iwan, wymachując toporem, aby się rozgrzać.

I nagle wśród ciszy Iwan usłyszał przytłumione wycie wilczycy. Iwan zadrżał. Gdzieś pod sercem zakłuł zimny dreszcz. Ale Iwan w tej chwili się opanował i nawet roześmiał się na głos:

— Proszę bardzo ichmościów, szarych obywateli! — i lekko uderzył toporzyskiem po worku; prosie zawrzeszczało na cały głos.

Wilki w przerwach wycia podchodziły coraz bliżej, zatrzymywały się i słuchały...

Jak tylko prosię zamilkło, Iwan znowu pchnął je w brzuch i znowu rozległ się piszczący kwik. Między drzewami zamigotały jak skrzące się węgielki — wilcze oczy. Zwierz o dużym łbie wybiegł na skraj lasu, zwietrzył człowieka i zatrzymał się nagle. Wyciągnął mordę i zgrzytnął kłami. Na prawo i na lewo, po białym puchu śnieżnym, bezszelestnie zbliżały się od lasu ciemne sylwetki wilków.

Iwan oparł się plecami o sosnę i czekał.

Wilki nie śpieszyły się atakować. Nieruchoma postać człowieka trwożyła zwierzęta.

Prosiak, zachrypnięty od krzyku, czasem ledwie dosłyszalnie pokwikiwał w torbie. Zwierzęta podbiegały bliżej i bliżej. Pierwsza rzuciła się ku sośnie chuda wilczyca z włosem najeżonym na grzbiecie. Iwan chciał uderzyć toporem, ale chybił, wilczyca odskoczyła. Wtedy na Iwana rzucił się wilk z dużym łbem. Iwan trzasnął w ten łeb toporem i wilk rozciągnął się na śniegu. Teraz stado gromadnie napadło na człowieka. Zwierzęta skakały mu na piersi, gryzły za boki. Iwan rozkraczył szeroko nogi i rąbał z rozmachem. Obawiał on się tylko, aby nie upaść.

— Leżącego zadepczą! — nię przestawał myśleć.

Bój trwał niedługo: stado jak gdyby na komendę cofnęło się. Trzy sztuki zostały na śniegu. Pod lasem wilki zatrzymały się i zawyły. Widocznie oszołomił ich ten człowiek, niedostępny dla wilczych zębów, broniący pachnącego, tak kusząco, prosiaka.

Księżyc podniósł się teraz wysoko, a jego jaskrawy chłodny blask jeszcze jaśniej oświecał biel śniegu, na którym siedziały wilki z podniesionymi mordami — nieruchome i straszne. Jeden — młody — położył się na grzbiecie i zaczął tarzać się na śniegu.

Z jaru wyskoczyły dwa wilki, okrążyły drzewo i z boku skoczyły na Iwana. Gromada znowu rzuciła się ku sośnie. Iwan rąbał i rąbał. Kożuch na nim był poszarpany, wilcze zęby zgrzytały po żelazie pancerza, a człowiek ciągle stał, jakby obok drzewa wrósł w ziemię.

I drugi atak, jeszcze bardziej gwałtowny i zacięty niż pierwszy, skończył się zwycięstwem człowieka. Wilki odeszły do lasu.

Iwan zaczął obrachowywać zdobycz. Sześć zarąbanych wilków leżało wokoło sosny, dwa ranione pełzły wolno do lasu. Iwan podszedł i dobił je, po czym powrócił do drzewa i przede wszystkim przypomniał sobie o prosiaku, który wisiał na sęku w worku, caluteńki! A że to one nie oberwały go w czasie bitwy? Prosię żałośnie kwiknęło.

— Zdaje się, że chyba zmarzłeś? — przemówił do niego Iwan. — Cicho bądź, głuptasku, pocierp trochę, a niedługo pojedziemy do domu. Nakarmię gorącą kaszką owsianą — zasłużyłeś na to.

Gwiazdy bladły, księżyc zbliżył się do lasu, blady krąg zarumienił się złotym blaskiem.

Zaskrzypiały płozy, na drodze ukazały się wiejskie sanie. Jewdokia niecierpliwie popędzała gniadego. Wałach, czując wilki, trzęsie głową i niechętnie przedeptuje nogami.

— Ho-ho-ho! — uspakaja go Iwan. — Gniady, nie bój się!

I wałach poszedł za głosem gospodarza.

Jewdokia radośnie pokrzykiwała:

— Żywy mężulek! Oj, serce moje omdlało! Oj, żywy!

— A cóż mnie się stanie? — powiedział Iwan. — Przecież ja mówiłem ci, abyś nie wątpiła.

Jewdokia klasnęła w dłonie:

— Ach, jakże poszarpały kożuszek na tobie!

— Nowy zszyjemy — wesoło odpowiedział Iwan. — Patrz-no tylko, co ja przez noc zarobiłem.

Położyli zdobycz na sanie. Za dwie godziny Iwan siedział już w zarządzie kołchozu. Zapaliwszy papierosy z przewodniczącym, rozmawiali sobie o pogodzie, po czym dopiero myśliwy otworzył obrachunkową książeczkę:

— A więc Maksym Gawryłowicz, zapisz mi swoją ręką osiemdziesiąt roboczo-dni.

Przewodniczący z uśmiechem patrzył na myśliwego:

— Coś ty, czy nie dostałeś bzika?

— Dziękuję, nie skarżę się na zdrowie — odpowiedział Iwan, nie opuszczając oczu pod spojrzeniem przewodniczącego.

— A jaka była umowa? po dziesięć roboczo-dni za wilka. Tak więc i pisz.

— Co ty pleciesz za głupstwa? — Przewodniczący podskoczył z miejsca i rzucając w kąt papierosa, oznajmia: — Awansem za wilki niezabite nie będę ci płacił!

Wtedy Iwan wstał z ławki, mówiąc:

— Nie wierzysz? W takim razie pójdziemy razem, to ci pokażę!

Przełożył STANISŁAW LESKI



STANISŁAW BARAŃSKI

ZEMSTA USZAKA

W GĘSTYM młodniku sosnowym, przetykanym kępami leszczyn i tarnin — w wysłanym suchymi trawami i mchem legowisku — rozłożona na boku silna maciora karmiła dwanaścioro kilkodniowych warchlaków, wystrojonych w prążkowane koszulki. Maj oddychał ciepłem, rozpinał na gałęziach świeże listki i rozścierał kobierce soczystej trawy. Słońce odchyliło młode liście leszczyny, jeszcze pokarbowane, i wesoło potoczyło promieniem po matczynej czarnej sukni i pasiakach dzieci, leżącym rzędem i pijących ciepłe, białe życie. Samura podnosiła biegi, by jak najwięcej miejsca udostępnić małym i postękiwała krótkimi i urywanymi dźwiękami, najczulsze matczyne słowa pieszczoty...

Spośród rodzeństwa, matka najbardziej polubiła grubego synka, niepoprawnego łobuza, odznaczającego się wielkim sprytem, „Zucha".

Po tygodniu samura wyprowadziła rodzinę na spacer w najbliższe gęstwiny. Nastąpiło pierwsza lekcja z pokazem ucieczki od niebezpieczeństwa, ostrzeżonego głosem matki.

Odtąd Zuch spotykał szerszy świat, uczył się rozpoznawać wzrokiem, słuchem. Widział jak matka podnosiła gwizd i tabakierą wyszukiwała coś, czego on jeszcze nie mógł pojąć.

Pod koniec lipca, kiedy matka nauczyła dzieci jeść smaczne i tłuste pędraki, podczas ciemnej nocy, Zuch został w tyle za wędrującą rodziną na polanie i kończył chrupać smakowity kąsek, kiedy poczuł dziwną woń. Nagle obcy nieznany dotąd głos zahuczał koło niego i ostry ból kłuł go w słuchy. Zakwiczał głośno, szarpnął się i w tej chwili posłyszał jak matka zarechotała — uciekać! a sama zaszarżowała w kierunku Zucha, który wyrywając się zostawił cały lewy słuch w paszczęce psa. Pies nie spodziewał się napaści. Widząc przed sobą olbrzymią czarną postać lochy, oniemiał. Gwizd dzika znalazł się pod brzuchem kundla, kły rozdarły skórę od brzucha do szyi, lewa przednia łapa została zgruchotana. Skomląc, i znacząc farbą, Kruczek własność gajowego Seweryńskiego, zmykał co sił na trzech nogach. Mały Zuch zapamiętał sobie ową dziwną woń, głos i piekący ból.

Dni i noce nastały upalne. W dzień maciora wynajdywała cieniste kryjówki. Wieczorem, kiedy mrok przynosił chłód, urywanym rechotem wzywała warchlaków na żer. Napotykawszy bajorki, kładła się w błoto i klapała biegami zażywając kąpieli. Młodzież żwawo ją naśladowała.

Prowadząc dziatwę na wycieczkę w dolinę rzeki Kamiennej, natknięto się na pólko ziemniaków. Stara, buchtując redlanki, wyłuskiwała młode i małe bulwy. Ogromnie smakowały rodzinie. Od tej nocy pole głośnego kłusownika Józka Koziei ze Stoków było rozorywane gwizdem maciory co noc.

— O! ciorty! czekajta! ja wam pokażę! — wygrażał stary kłusownik, spoglądając żałośnie na zniszczony plon.

II.

...Noc sierpniowa. Księżyc tłustą gębą wyglądał zza chmur, lekki wiatr ciągnął od rzeki. Na zżętych polach coś postraszyło stado kuropatw. Porwało się ciętym lotem i zapadło na łąkach.

Las trwał w ciszy. Tylko od czasu do czasu wiatr poruszał liście.

— Ruszajcie się prędzej! — zarechotała samura, patrząc z zadowoleniem na swoje dwanaścioro pociech.

Zuch znowu został na końcu watahy. Nagle coś mu skoczyło na gwizd aż do świec i stoczyło się w trawy. Zakwiczał. Matka jednym susem znalazła się przy ulubieńcu i widząc, że mała żabka usiłuje wleźć na leżący kamień, cichym chrapnięciem zachęciła swego malca, by ją połknął. Smakowała mu wyśmienicie.

Rodzinka wyszła z lasu, wpakowała się w Koziejowe ziemniaki.

— Józek! widzisz? — szepnął do Koziei jego towarzysz Bolek Brzoza.

— Maciora z warchlakami! — odpowiedział Kozieja, ściskając pojedynkę dziwerową, z której dziesiątki sztuk jeleni, sarn i dzików uśmiercił.

— Naboje masz dobre?

— Sam robiłem. Trzy sztuki. W każdej po trzy loftki. Aby tylko kapiszony...

Nie dokończył, gdyż dojrzał, jak locha, podniósłszy gwizd tabakierą wietrzyła w ich stronę. Szepnął:

— Stara nas czuje.

Wiatr z przeciwnej strony uspokoił lochę.

Podjadłszy, dzicza rodzina wolno posuwała się w stronę lasu i na piętnaście metrów od zagajnika matka poczuła obrzydłą woń dwunogich wrogów. Nim zdążyła zarechotać, huknął strzał. Locha krzyknęła — uciekać! — zachwiała się. Z trudem dobiegła do ściany lasu, padła na gwizd, podniosła się, znów utknęła i już nie wstała. Posoka lała się z rany strumieniem.

Zuch, najbliżej matki dobiegł do niej, musnął ją małą tabakierą, i cienko kwiknął, jakby wołał ją do dalszej ucieczki. Słysząc zbliżających się ludzi, przywarł do lochy, sądząc, że go ochroni. Dwunodzy ostrożnie podchodzili do ubitej sztuki. Dwie ręce ludzkie szybko i mocno schwyciły warchlaka, jedna za pozostały słuch, druga za tylne biegi. Rozległ się kwik — krzyk młodziaka, szarpanie.

— Taki młody i już nie ma ucha — ozwał się Kozieja.

Mały dzik szarpnął się mocno, racicami skaleczył rękę, wysunął się i smyrgnął w gąszcz, głośno fukając.

*

Długo Zuchowi brakowało opieki matki. I dobrze zapamiętał woń ludzi — dwunogich. Uciekając, dopędził czworo rodzeństwa i społem przystali do watahy złożonej z piętnastu sztuk dorosłych dzików. Na dolę i niedolę.

Przyszła zima. Śnieg grubą powłoką pokrył żerowiska. Zuch długo nie raz musiał buchtować nim dostawał się do suchych traw.

Poznał również polowanie z psami i nagonką. Powtórzyły się piorunujące huki, które powaliły jego matkę.

Wataha, ruszona psami, rwała pełnym pędem na linię strzelców. Mimo gęstych huków szczęśliwie dotarła do spokojnej ostoi.

...Ciepłe słoneczko kwietniowe rozgrzewało ziemię. Jawiły się zieloniutkie trawy, w czarnych wygłodzonych zwierzętach zaświtała otucha.

Wygłodzony Zuch zajadał się korzonkami, trawami. Myszy i ślimaki urozmaicały jego menu. Muskuły warchlaka stawały się twarde jak z kamienia. Wzrostem prześcignął rówieśników.

Tej wiosny Zuch poznał szerszy świat. Wataha przebyła rzekę Kamienną koło mostu na Borowni, oparła się w sąsiednich lasach Bodzechowskich, aż do zimy.

Przy meldunkach o zwierzynie, leśnicy wypowiadali się o stadzie dziczym z Uszakiem, młodym dzikiem bez jednego ucha.

*

W trzecią zimę Uszak wzrostem dorównywał silnym wycinkom.

Grudzień był bez śniegu. Wataha szukała wygodniejszych żerowisk, aby łatwiej można było buchtować w zmarzniętej ziemi. Przyszły noce księżycowe, lekki mróz owijał w szron trawy, pędy krzewów i gałęzie drzew. Uszak poczuł w sobie dziwną zmianę. Nigdy nie pociągała go tak miła woń samury, prowadzącej watahę, jak teraz. Często kręcił się koło niej, ocierał się, nigdy skóra na nim nie drżała jak teraz, kiedy zbliżał się do niej.

Jakaś wielka przemiana odbywała się w wycinku. Nieprzeparta porządliwość pchała go do samury, złość go ogarnęła gdy bywał odrzucany przez. odyńca, który przyłączył się do watahy i stale chodził obok przodownicy. Uszak huknął ze złością i nie odchodził od tak przyjemnie woniejącej samicy. Odyniec patrzył na niego świecami, zaszłymi czerwoną posoką i grubym głosem zarechotał,

chcąc natręta odstraszyć. Wycinek był nieustępliwy. Całe dwa dni oba samce leżały obok wybranej i całe dwie noce obok niej biegły. Pod koniec drugiej nocy, kiedy zatrzymano się w młodym zagajniku, na dzienny wypoczynek, odyniec zbliżył się do maciory, chcąc gwizd położyć na jej barkach . W Uszaku zawrzało, posoka zahuczała w mózgu, zalała świece. Podniósł hyb i jednym susem znalazł się przy odyńcu od strony lochy. A z taką siłą wykonał skok, że odyniec, aczkolwiek cięższy, został odrzucony i utknął na gwizd. Powstał szybko, groźnie zarechotał, i ostrząc szable, zaszarżował. Uszak zrobił pół obrotu, z rozwartym gwizdem również skoczył. Dopadli do siebie, każdy usiłował dostać się gwizdem pod brzuch rywala. Szabla odyńca trafiła na zadni bieg Uszaka i dwukrotnie na krzyż rozcięła suknię i wryła się głęboko w mięśnie. Ale gwizd napastnika znalazł się pod brzuchem przeciwnika i szabla wpakowała się w przepony. Więc czując ból w mięśniach nogi, szarpnął gwizdem i płat skóry z piórem wyrwał. Szable i fajki kłapały złowrogo.

Pyzaty księżyc uperlił pokryte szronem gałęzie i zatrzymał się nad polaną, przyglądając się walce. Reszta watahy rozstąpiła się w oczekiwaniu wyniku walki.

O kilka metrów dalej spadał głęboki jar i do jego krawędzi straszny i rozjuszony odyniec gnał Uszaka, który widząc przed sobą przepaść, zgrabnie obleciał odyńca i atakując go od przodu, gwizd wsadził mu pod podgardle, głęboko rozerżnął. Odynie cofnął się pół metra i to go zgubiło. Zbliżył się nad samą krawędź jaru, stracił równowagę. I runął w dół, koziołkując kilkakrotnie.

Może byłby wyszedł cało, gdyby nie kłoda dębowa, leżąca na dnie jaru. Dolatując do kłody, oparł się o nią biegami, a korpusem cielska przycisnął je z taką siłą, że w dwóch złamał kości, aż wyszły przez skórę. Nazajutrz gajowy znalazł go i dobił.

Uszal zarechotał zwycięsko, cały dżał ze zmęczenia. Suknia jego była pocięta w kilku miejscach, posoka obficie ciekła. Tak stojąc, świecami szukał nadobnej lochy, a kiedy ją dojrzał w towarzystwie innego samca, zadrżał i jak burza, która pędząc przez las łamie najstarsze drzewa, runął na nowego wroga z taką siłą, że rywal odskoczył na kilkadziesiąt kroków i już się więcej nie zbliżał.

Uszak w zgrabnych skokach zbliżył się do przodownicy, tknął ją tabakierą w bark i z lubością wietrzył jej woń. Ona, jak najmilej zarechotała, chwaląc jego siłę i spryt.

Kiedy jednak ponowa okryła ziemię, — było to w styczniu, — Uszakowi za ciasno zrobiło się w towarzystwie rodziny. Niewidzialna siła gnała go w samotność. Trzykrotnie się oddalał i wracał do watahy, aż za czwartym razem odszedł na stale.

Gajowy Siemieniuch zauważył, że do jego obchodu przybył nowy odyniec i że upodobał sobie gęsty młodnik sosnowy na Porębinie. W kilka dni stwierdził, że odyńcem tym jest Uszak.

*

Lata przypruszyły Uszaka siwizną. Wagę jego oceniano na dwieście pięćdziesiąt kilogramów, a wzrost w barku ponad jeden metr. Nic dziwnego, że wielu myśliwych chciało go mieć na rozkładzie. Próbowali i gajowi. Uszak drwił z wszystkich. Nosił w grubej i twardej skórze kilkanaście loftek, nic a nic mu nie szkodziły.

Jesienną porą Kozieja z Brzozą postanowili wyjść do lasu i położyć Uszaka.

Stwierdziwszy, że zwierz zalega na Maziarce w dębinkach w pobliżu bajorka, i sądząc, że na żer będzie szedł przez Borownię, albo przez Bogdankę, stanęli na wagach i oczekiwali.

Kozieja ze swą starą pojedynką zaczaił się w grubym lesie w kierunku na Borownie.

Noc była przymrozkowa. Księżyc tkwił wysoko na niebie. Wiatr ani drgnął. Las trwał w wielkiej ciszy, jakby na coś oczekiwał. Nawet gwiazdy zbladły i przestały mrugać.

Zza kępy dębów, na dwadzieścia kroków, na oświetloną polankę wtoczył się potężny odyniec i szedł jak po nitce na kłusownika. Ten przykładając kolbę do ramienia i umieszczając muszkę między świecami, rozpoznał, że to był Uszak.

Strzał targnął powietrzem, rozbiegł się po lesie tysiącem ech...

Dzik nawet nie drgnął i przeszedł o trzy kroki od kozicy. Przedefilował, fukając, jak lokomotywa.

— Ciort nie dzik — mruknął Kozieja i nawet nie miał ochoty drugi raz nabijać. Był jak urzeczony. Czy spudłował, czy też loftki ugrzęzły w barku bez wylewu posoki, odgadnąć nie mógł, ani też chciał.

Nadbiegł Brzoza i z daleka pytał.

— Do czego strzelałeś?

— Do ciorta!!!

Więcej nie chciał mówić, tylko rozłożył pojedynkę, związał sznurkiem lufę i wieszając na szyi pod płaszczem, ruszył w stronę domu. Brzoza nic z tego nie mógł zroumieć.

Po kilku tygodniach rozeszła się nie wiadomo skąd wieść, że Uszaka nikt nie zabije.

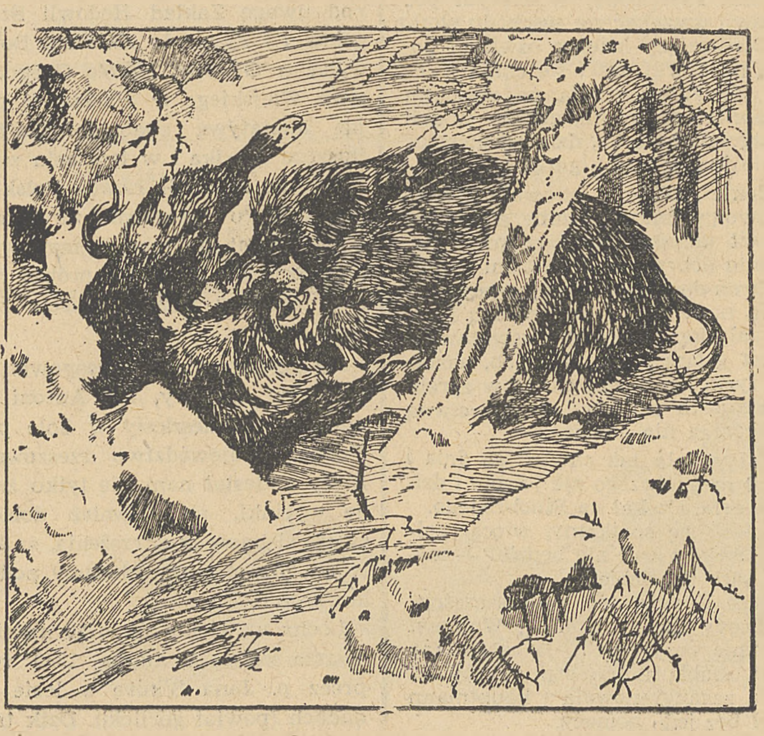
Uszak żył, chodził na żer, dawał się widzieć i w dzień, lecz nikt nie próbował na niego polować. Był niedosiężny.

*

Przyszła jesień 1939 r. W Glinianach, osadzie leżącej obok lasu Wojnowickiego zakwaterowało wojsko niemieckie.

Lasy Wojnowskie wydzierżawił „prawem kaduka" kapitan żandarmerii z Ostrowca, którego z powodu noszenia długiej i siwej brody, okoliczna ludność nazwała Sinobrodym.

Znając z opowieści olbrzymiego odyńca, Sinobrody postanowił położyć Uszaka. Nie było dnia by z dwoma jeszcze kolegami nie sterczeli raniutko, lub wieczorem na stanowiskach.



Pomocy od pracowników leśnych nie żądali, wiedząc, że jeżeli im się udzieli, to z musu.

Był maj. Zieloność obwinęła ziemię kwietną wstęgą. Słońce jeszcze jarzyło się purpurą i wisiało nad horyzontem jak wielka czerwona kula, kiedy w gęstych świerkach powstał z legowiska Uszak. Na młodą trawę padała rosa. Uszak wysunął gwizd z gąszczu, pociągnął rzeźkie powietrze tabakierą i wolno ruszył w kierunku Łączek, myjąc w wieczornej rosie rapcie. Przechodząc przez sąsiednią kulturę dębową, spłoszył samiczkę strzyżyka, siedzącą na kulistym gnieździe.

Uszak przystanął, schrupał trzy jajeczka i ruszył w kierunku bajorka, by wykąpać się i ochłodzić po upalnym dniu. Samiczka strzyżyka długo płakała o zachodzie słońca nad stratą jajeczek.

Odyniec doszedł do bajorka, wlazł w sam środek, położył się i z wielką przyjemnością paplał się w błocie. Kiedy miał dość kąpieli, wygramolił się na dość wysoki brzeg, by wyczochrać się o drzewo sosnowe, wytarte aż do żywego drewna przez całe watahy rodu dziczego. Po tym zabiegu kosmetycznym odyniec wtoczył się na remizę i buchtując ziemię, wyszukiwał smacznie pędraki, lub dżdżownice, powoli zbliżając się do strony południowej.

Na to właśnie czekał siedzący na ambonie, zbudowanej od tej strony remizy, Sinobrody z lornetą przy oczach. Dwukrotnie podnosił sztucer z lunetą do ramienia, ale mrok nie pozwolił mu strzelać na dalszą odległość. Odyniec zbliżał się powoli. Kiedy był dobrze widoczny i muszka spoczęła na komorze, Niemiec pociągnął za spust.

Ostry huk przeciął ciszę. Uszak podskoczył w górę i legł, jakby mu kto obciął biegi. Sinobrody trzymał go chwilę na muszce, ale widząc że Uszak leży martwy, szybko spełzł z drabiny i szedł do leżącego odyńca.

Na odgłos strzału przybiegli z dalszych stanowisk koledzy Sinobrodego. Wszyscy podchodzili do powalonego olbrzyma. Ten leżał z podwiniętymi pod siebie biegami, jakby spoczywał. Mała baryłkowata postać Sinobrodego pochyliła się i ręką klapnęła na grzbiecie dzika. Wtedy to właśnie stała się rzecz nieoczekiwana. Uszak ciężko ranny zbudził się z omdlenia i widząc przed sobą postać znienawidzonych dwułapych, podniósł nagle gwizd, a natrafiwszy na nogę Sinobrodego, szablą rozdarł ubiór i ciało od kolana aż do krocza. Rozległ się krzyk Sinobrodego padającego na wznak, huk targnął powietrzem. To kolega Sinobrodego strzałem z trzech kroków dobił Uszaka. Zwierz raz jeszcze podniósł gwizd, klapnął szablama, i zacharczał i padł bezwładnie w kałużę własnej posoki, spływającej obficie z dwóch śmiertelnych ran.

Wielka, czerwona tarcza księżyca wychodziła na niebo. Lekki wiatr powiał po piórze leżącego martwego Uszaka, zakołysał, łkając gałęziami rozłożystego dęba. Słowiki wyciągnęły z ukrycia maleńkie flety i rozpoczęły żałobny rapsod. Gwiazdy sypnęły srebrnymi skrami w bajorko, kumkanie żab zbudziło z drzemki puszczyka, który skrzydłem przeciął noc, a dziobem zaczął dzierżgać, jak nić tony cmentarne.

Z gęstego młodnika sosnowego, oczy gajowego Niewójta śledziły przebieg polowania. Zaszły łzami.

— Tyle lat żył! Ha! Ale i Szwab ma za swoje!

IX

W izbie Koziei księżyc ozłocił bochen świeżego chleba na stole, zajrzał do szafy-kredensu za szkło do opartych talerzy. Stamtąd powędrował na łóżko, pogłaskał chrapiącego gospodarza po twarzy, nachylił się do jego ucha:

— Józek! Wstawaj!!

Kozieja podniósł głowę, mlasnął wargami i siadł na łóżku poglądając w okno. Gwiazdy mrugały przez małe szybki zastawione pelargoniami.

— Pewno Franek mnie woła — pomyślał.

Włożył ubranie i wyszedł przed chałupę. Nie było nikogo. Noc pachniała majem. Wszedł do stodoły, z wiadomego miejsca wyjął 4 naboje z loftkami, zaparł skrzypiące wierutnie i skierował się w stronę lasu, który szumiał i jagby wołał ludzkim głosem:

— Józe-e-k! Józe-e-!

Z łatwością odnalazł dąb, w którego dziupli przechowywał swoją pojedynkę. Wyciągnął ją, obejrzał i zarzuciwszy na plecy, ruszył w stronę Łączek.

Dojrzał stadko dzików, żerujące w tegorocznej kulturze. Przystanął za małym świerczkiem i obserwował. z zaciekawieniem.

Potem ruszył dalej. Na wschodzie brzask pławił się na niebie. Dochodząc do Łączek wsunął się w gęsty młodnik świerkowy, w którym postanowił doczekać się wschodu słońca. Bledniejący księżyc oświecał polanę, na której pasła się chmara jeleni. Kukułka wołała na wysokim nasienniku dębowym, gdzieś w dali zagulgotała cecorka, dzięcioł niestrudzenie kuł w suchą gałąź.

Jelenie spokojnie żerowały. Kozieja powoli podniósł strzelbę, złożył się, ustawił muszkę na żerującym oddzielnie dobrym czternastaku i opuścił broń do nogi. Ściągając pojedynkę do nogi, strącił lufą cienką i suchą gałązkę. Licówka usłyszawszy szelest gałązki, podniosła łeb, nastawiła łyżki i po małej chwili w zgrabnych susach ruszyła w przeciwną stronę a za nią chmara.

Od tygodnia tak chodził co dnia i czekał na grubszego niż jelenie i dziki zwierza. Czekał na Sinobrodego.

— Jeśli się spotkamy, więcej polskich dzików żreć nie będzie! — mawiał sam do siebie.

Józek Kozieja nie miał szczęścia. Sinobrody więcej do kniei Wojnowskiej nie przyjechał. Rana zadana dziczą szablą mimo szpitalnego leczenia zagangrenowała i hauptmann zmarł bez jego pomocy.

J. KRÓLIKOWSKI.

NIECO

Przed drugą wojną światową zwierzyna łowna tylko w większych miastach ukazywała się w sklepach i to od czasu do czasu oraz okazyjnie, chociaż, jak wiemy, zarówno z fachowej, a nawet z codziennej prasy, padało rok rocznie na polowaniach tysiące sztuk dziczyzny, która by mogła zasilić wydatnie nasze kuchnie i stać się poważną pozycją w eksporcie zagranicznym. Eksport nasz musiał być bardzo mizerny, skoro roczniki statystyczne nie notowały go nawet. Przyczyną tego stanu była nieudolna gospodarka leśna właścicieli prywatnych, jak również małe zainteresowanie władz państwowych. Dziś sprawa ta przybrała inny obrót, gospodarka zwierzyną łowną znalazła się w jednym ręku, co pozwala na planowe i racjonalne rozplanowanie na dłuższy okres. Dowodem tego jest zaopatrzenie w dziczyznę rynku wewnętrznego, zużytkowanie na wyroby mięsne, jak również znaczny eksport do krajów zachodnich.

Zużytkowaniem ubitej zwierzyny na przeroby mięsne mało się dotychczas interesowano; literatura nasza i zagraniczna podaje o tym tylko niewiele mówiące wzmianki. A jednak warto się nieco bliżej zapoznać z wartością konsumcyjną naszej zwierzyny, która może zaważyć w budżecie i jadłospisie domowym bardzo nieraz wydatnie. Biorąc to pod uwagę Zakład Hodowli Szczegółowej i Żywienia Zwierząt Domowych w Głównej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie podjął inicjatywę zbadania wartości tłuszczu z dzika i w tym celu zwrócił się do redakcji Łowca Polskiego z prośbą o ogłoszenie na łamach swego pisma ankiety do myśliwych, aby zechcieli przysyłać próbki mięsa i tłuszczu wraz z opisem zabitych dzików.

Na ogłoszony apel zareagował tylko jeden myśliwy, inż. Antoni Pawłowski, zamieszkały w Sole pow. Gorlice, województwo rzeszowskie, który nadesłał nam nie tylko żądane wycinki, ale również dołączył swoje ciekawe spostrzeżenia, za które na tym miejscu składamy podziękowanie.

Locha w wieku około 20 miesięcy została zabita 9 marca 1949 roku przez p. Jana Sikorę w lesie Bodakach (powiat gorlicki). Dzik trzy-

O TŁUSZCZU DZICZYM

mał się stale lasów, robiąc wypady na kartofliska, owsiska, korzystał również z jęczmienia i kukurydzy. Z nastaniem zimy myszkował w lesie, żerując pod sosnami w poszukiwaniu korzeni paproci, robiąc od czasu do czasu wyprawy na oziminy.

Po zabiciu ważył 105 kg; sztuka na ogół była względnie wychudzona, co potwierdziły pobrane wycinki tłuszczu. Sądząc z pobranych pomiarów locha była dobrze wyrośniętym okazem i dość długa, bowiem od ryja aż po nasadę ogona wynosiła 160 cm.

Pomiary dzika:

długość głowy — 47 cm,
obwód dzika poza łopatkami 117 cm,
wysokość w kłębie — 91 cm,
skośna długość wewnętrzna 87 cm,
szerokość tuszy — 41 cm,
długość tylnej nogi — 46 cm,
długość uszu — 15 cm,
długość zewnętrzna skośna — 95 cm,
wysokość w krzyżach — 88 cm,
skośna szerokość wewnętrzna 34 cm,
długość przedniej nogi — 60 cm.

Waga po oskórowaniu obydwu połówek, wraz z głową, wynosiła 72 kg.

Próbki tłuszczu zostały poddane badaniom chemicznym, które dały następujące wyniki:

Wyniki analizy chemicznej pokrywają się z uwagami w załączonym protokóle, który podaje, że „wytopiono z błon i tłuszczu kiszkowego 4 litry smalcu. Smalec miał zapach ziołowy, w przeciwieństwie do zapachu surowego mięsa, jaki ma smalec ze świni domowej. Waga słoniny z tylnej ćwiartki wynosiła 2,5 kg. Zasolona i pozostawiona w naczyniu w celu przesolenia, nie wypuściła z siebie ani kropli wody, w przeciwieństwie do słoniny pochodzącej ze świni domowej, która zwykle wypuszcza dużo wody (rosołu). Przy topieniu słoniny okazało się, że jest nadzwyczaj topna i nie pozostawia żadnych skwarek. Tak samo błona i tłuszcz kiszkowy bardzo nie wiele dał skwarek".

Jak widać z wyników zarówno analitycznych, jak i obserwacji, poczynionych przez naszego korespondenta, to tłuszcz z dzika jest wydajny i przedstawia dużą wartość przerobową. Powinny teraz zabrać głos w tej sprawie nasze gospodynie i orzec o przydatności smalcu dziczego w gospodarstwach kulinarnych.

Analiza chemiczna tłuszczu dzika i świni domowej w procentach

Rodzaj tłuszczu	Sucha masa		Woda		Popiół		Tłuszcz		Liczb. jodow.		Temperatura topliwości	
	dzik	sw. dom.	dzik	sw. dom.	dzik	sw. dom.	dzik	sw. dom	dzik	sw. dom.	dzik	sw. dom.
kark	2.47	2.31	2.66	6.03	0.05	0.11	94.80	91.54	68.54	57.61	2315°C	27.5°C
lędźwie	1.48	1.89	1.35	4.36	0.02	0.07	97.14	93.66	68.54	55.43	23.5	30.3
krzyż	1.72	1.67	1.62	4.57	0.03	0.10	96.62	93.7 6	62.64	58.52	25.3	25.3
brzuch	2.56	5.02	5.06	15.81	0.07	0.13	92.25	79.04	68.52	58.40	22.55	37.1
sadło	0.63	0.74	1.64	4.19	0.03	0.11	97.76	94.66	62.31	51.53	25.6	32.9
sadło z krezki	2.07	—	3.30	—	0.06	—	94.57	—	64.01	—	26.3	—
z okolic lędźwi	0.77		1.83		0.01		97.35	—	68.57	—	27.4	—



DR STEFAN ŻEBROWSKI

Choroby zakaźne zwierząt hodowlanych i dziko żyjących

(I)

KTO z nas chociaż raz w życiu nie przeżył emoji hodowania własnego psa? Zdaje nam się, że znamy jego wszystkie potrzeby i niedomagania i zawsze żywo interesujemy się osiągnięciami innych amatorów - hodowców. Jak chętnie i jak fachowo debatujemy z przyjaciółmi na temat różnych odchyleń w zdrowiu naszych ulubieńców i jak łatwo udzielamy wyczerpujących rad i wskazówek.

Niejednokrotnie zainteresowania nasze hodowlane przekraczają zasięg jednej tylko rasy a nawet gatunku zwierzęcia. Dość często bowiem znane są przypadki, gdy amatorzy hodowli psów rozszerzali swe zainteresowania na inne zwierzęta, hodując ptaki, króliki, świnki morskie i przeróżne dziwotwory rybne. Zasmakowawszy w twórczej istocie hodowli początkowi amatorzy przekształcają się łatwo na hodowców zawodowych, łącząc zamiłowanie z efektywnymi korzyściami materialnymi. Dotyczy to przeważnie hodowców zwierząt futerkowych, jak nutrie, norki, a zwłaszcza lisy srebrzyste, których pyszczek i cały exterieur tak łudząco przypomina nam ulubieńca — psa, a których hodowla rozpowszechniła się po całym świecie.

Zrozumiałe jest, że wszystkich miłośników zwierząt niepokoją w znacznym stopniu niebezpieczeństwa chorób, zwłaszcza chorób zakaźnych, jakim mogą podlegać ich ulubieńcy. Niejeden myśliwy nie przypuszcza nawet, że jego pies, wierny towarzysz łowów, narażony być może na groźne niebezpieczeństwo zakażenia chorobą zakaźną w przypadku zetknięcia się na terenie łowieckim z chorym zwierzęciem żywym lub aportowanym. Takie zetknięcie może mieć ujemne skutki niekiedy tylko dla psa, a niekiedy również i dla człowieka. Rozpiętość zaś chorób zakaźnych jest duża i przebiegają one w różny sposób w zależności od gatunku i rasy zwierzęcia, jego środowiska, wieku itp.

Niektóre choroby zakaźne atakują wszystkie zwierzęta, zarówno hodowlane, jak i dziko żyjące i mogą niekiedy zagrażać również i człowiekowi. Do takich chorób zaliczamy między innymi: gruźlicę, wściekliznę, leptospirozę, tularemię. Inne choroby zakaźne są wspólne dla jednych zwierząt, a wyłączają inne zwierzęta, jak np. nosówka, która atakuje psy i lisy, a wyklucza między innymi koty. I wreszcie jeszcze inne choroby zakaźne mogą być specyficzne dla pewnego tylko gatunku zwierząt. Do takich chorób należy w pierwszym rzędzie zakaźne zapalenie mózgu u lisów.

1. ZAKAŹNE ZAPALENIE MÓZGU U LISÓW (encephalomyelitis)

Ponieważ zakaźne zapalenie mózgu u lisów stosunkowo jest mało znane szerszemu ogółowi, nawet zawodowo trudniącemu się hodowlą lisów — mam zamiar podać niektóre szczegóły dotyczące tej choroby przed całym szeregiem innych chorób zakaźnych równie groźnych i niebezpiecznych, a to z uwagi na jej wysoką śmiertelność, zwłaszcza u szczeniąt, stosunkowo szybki przebieg choroby oraz zbieżność niektórych jej objawów z objawami nosówki i wścieklizny, co może łatwo wprowadzać w błąd nadzór hodowlany i myśliwych.

Jak podaje literatura naukowa źródła tej choroby nie znamy. Pierwsze przypadki zachorowania na zakaźne zapalenie mózgu u lisów srebrzystych zostało stwierdzone w Ameryce w 1929 r., a w Europie we Francji w 1930 r. W Związku Radzieckim w 1933 roku choroba ta naraziła hodowlę lisów srebrzystych na poważne straty. Została jednakże całkowicie opanowana i dzisiaj w ZSRR więcej nie występuje. Szwajcaria notuje fakt, jakoby na tamtejsze fermy lisów srebrzystych chorobę tą miały zawlec lisy dziko żyjące. Na terenie Polski pierwszy przypadek zakaźnego zapalenia mózgu u lisów pojawił się w 1947 roku na jednej z ferm podwarszawskich i został szczegółowo opisany w fachowej literaturze.

Początkowe objawy tej choroby przeważnie przechodzą niepostrzeżenie. Gdy wystąpią objawy bardziej rażące w postaci kurczy kończyn, kłapania szczękami, toczenia piany z jamy gębowej itp. jest to już prawie proces końcowy choroby, a objawy te jeszcze nie budzą podejrzenia groźnej epidemii zapalenia mózgu, a raczej nasuwają przypuszczenie, że jest to nerwowa forma nosówki lub wścieklizny. Dopiero badania lekarsko-weterynaryjne zarówno kliniczne, jak i bakteriologiczne stwierdzają istotę rzeczy.

Zakaźne zapalenie mózgu u lisów wywołane jest przez niewidoczny, przesączalny zarazek, który obiera sobie za miejsce predylekcyjny ośrodek mózgowy lisa. Pierwsze objawy choroby nie zawsze są jednakowe. Niekiedy występują one pełnym cyklem, niekiedy zaś tylko występuje jeden jedyny objaw i zwierzę pada. Najczęściej w okresie początkowym występuje nieznaczne posmutnienie zwierzęcia, ogólne osłabienie, brak apetytu i słabsza ruchliwość zwierzęcia.

Lis zatraca elastyczność ruchów, snuje się po kątach, a na widok człowieka ucieka w głąb klatki. Zanim jednak objawy te nasuną nadzorowi hodowlanemu podejrzenie groźnej epidemii, występuje już następny etap choroby, którego gwałtowność zaskakuje każdego hodowcę. Zwierzę, z oznakami zamroczenia mózgu biega po klatce w różnych kierunkach, najczęściej ruchem maneżowym, głowę trzyma na bok przekręconą i często ma szczękę opadniętą. Raptownie dostaje napadu skurczów i drgawek całego ciała. Pada na podłogę, wijąc się w drgawkach epileptycznych i wydając przeraźliwe skowyty, niczym nie przypominające jego dawnego głosu. Po takich konwulsjach najczęściej zwierzę zapada w omdlenie, trwające kilka lub kilkanaście minut, z którego budzi się w stanie zupełnego wyczerpania. Kurcze takie

i drgawki mogą się powtarzać co kilka godzin, a nawet i kilkakrotnie w ciągu jednej godziny. Również należy tu zanotować objaw występującego niejednokrotnie świądu skóry, gdy zwierzę drapie się i kąsa własny ogon i dostępne okolice ciała, nieraz wygryzając duże ubytki w skórze. Innym znów razem występuje nadwrażliwość skóry, która powoduje, że zwierzę dotąd spokojne — na widok człowieka jeży sierść na grzbiecie i przy najmniejszym nawet zbliżeniu jakiegoś przedmiotu do jego skóry, wpada w stan podniecenia nerwowego i gryzie. Kiedy indziej, zwierzę dotąd spokojne i leżące nieruchomo w klatce na widok zbliżającej się jakiejkolwiek postaci do klatki dostaje raptownych drgawek epileptycznych. Niekiedy znów lis snuje się po klatce senny, oczy ma wpół przysłonięte powiekami, głowę trzyma zwieszoną ku ziemi. W miarę rozwoju choroby senność ta coraz bardziej opanowuje zwierzę i drzemka taka przechodzi w rodzaj letargu, pogłębiającego się coraz bardziej, który w krótkim czasie kończy się śmiercią. Do objawów specjalnie rzucających się w oczy można zaliczyć występujące niekiedy porażenie wzroku w połączeniu z zasnuciem jednego lub obu oczu bielmem. Często występującym objawem w końcowym stadium choroby jest porażenie kończyn. Porażeniu podlegać mogą kończyny przednie lub tylne lub wszystkie cztery jednocześnie. Zwierzę przy takim porażeniu leży na brzuchu rozpłaszczone, a nogi leżą bezwładne.

Poza tym może również wystąpić opadnięcie szczęki i wypływ śliny z jamy gębowej. Zwierzęta tracą szybko na wadze i snują się po klatce senne i ociężałe. Jako jeden z częstszych objawów chorobowych może wystąpić zaburzenie przewodu pokarmowego, połączone z biegunką, niekiedy krwawą. Zaburzenia dróg oddechowych występują przy zakaźnym zapaleniu mózgu u lisów w wyjątkowych wypadkach i tylko w stopniu nieznacznym Wszystkie wyżej przytoczone objawy mogą występować zespołowo i trwać przez okres kilkudniowy, zdarzają się jednak przypadki, gdy choroba atakuje gwałtowniej i zwierzę ginie w czasie jednorazowego ataku konwulsji, jakkolwiek przed tym atakiem nie zdradzało żadnych innych objawów choroby. Również notowane są przypadki, gdy w czasie epidemii zakaźnego zapalenia mózgu u lisów zwierzę reaguje tylko brakiem apetytu a innych oznak choroby nie zdradza. Rokowanie wtedy najczęściej jest pomyślne i dotyczy ono przeważnie zwierząt dorosłych, młode bowiem lisy a zwłaszcza szczenięta zapadają raczej na formę gwałtowniejszą. Śmiertelność wśród szczeniąt jest różna i waha się od 13% do 80%. Zakaźne zapalenie mózgu u lisów wygasa po upływie jednego lub kilku tygodni i może na tej samej farmie powracać od czasu do czasu, jakkolwiek nie ma żadnych zewnętrznych oznak z jaką przyczyną są te nawroty związane. Nasuwa się tu przypuszczenie, iż nosicielem jest jedno ze zwierząt hodowanych, jakkolwiek nosicielstwa tego niczym nie zdradza. Przechorowanie zakaźnego zapalenia mózgu u lisów daje trwałą odporność na zakażenie; natomiast nie znaleziono dotychczas jeszcze skutecznej metody leczenia ani profilaktycznego szczepienia. Na zakażenie sztuczne dorosłe psy okazały się odporne, jedynie tylko młode szczenięta udało się zakazić za pomocą szczepień domózgowych, jak również i lisy, a ze zwierząt laboratoryjnych świnki morskie. Niemniej jednak pozytywnego leczenia nie osiągnięto zarówno z uwagi na gwałtowny i szybki przebieg choroby, jak i brak skutecznych środków. Jak przy każdej chorobie zakaźnej należałoby izolować chore zwierzęta od pozostałych zdrowych, jakkolwiek zauważono, iż przy zakaźnym zapaleniu mózgu u lisów przebywające z chorymi lisami zdrowe sztuki nie wykazywały żadnych objawów zakażenia. Jak podają uczeni radzieccy nosicielem tego zarazka są najprawdopodobniej samice, które zarazki przenoszą na szczenięta .

Istnieją również przypuszczenia, iż zarazek ten przenoszony jest przez pożywienie i tą drogą dostaje się do przewodu pokarmowego. Z tego też powodu należy zachować najdalej idącą ostrożność i czystość tak otoczenia zwierząt, jak i podawanej im żywności. To wszystko dotyczyło obserwacji tej choroby u zwierząt hodowanych, a więc zwierząt, do których mamy w każdej chwili łatwy dostęp i możemy swobodnie kontrolować przebieg choroby i jej skutki. Inaczej sprawa przedstawia się ze zwierzętami dziko żyjącymi. Jeśli zastanowimy się nad sprawą chorób zakaźnych u lisów dziko żyjących, to musimy sobie niestety powiedzieć, iż sprawie tej naogół poświęcamy niewiele naszej uwagi, gdyż przeważnie z lisami dziko żyjącymi stykamy się po odstrzale, a więc interesują nas jedynie, jako materiał skórkowy. Inne zwierzęta będą dla nas przedstawiać przedmiot zainteresowania po odstrzale, jako materiał mięsny i ewentualnie również skórkowy. Dopiero fakt możliwości przeniesienia choroby zakaźnej ze zwierzęcia łowieckiego na myśliwego zatrzymuje naszą uwagę na tym zwierzęciu z punktu widzenia niebezpieczeństwa choroby zakaźnej. Jak wyżej podałem, jedynie Szwajcaria notuje pewne uwagi na temat występowania zakaźnego zapalenia mózgu u lisów dziko żyjących. O ile chodzi o nasze tereny łowieckie, to trudno z całą stanowczością zająć jakieś stanowisko odnośnie stwierdzenia, czy zakaźne zapalenie mózgu u lisów występuje u lisów dziko żyjących, czy też nie. Jeżeli chodzi o choroby zakaźne i ich nasilenie u zwierząt dzikich, to należy tu podkreślić fakt, że o ilości padłych zwierząt w sensie zaistniałej epidemii jakiejś choroby zakaźnej, będziemy sądzić z napotykanej w terenie łowieckim ilości padłych sztuk. Bliższe i dokładniejsze dane cyfrowe osiągnąć można wtedy, gdy, pragnąc ochronić jakiś gatunek dzikiego zwierza, tworzymy rezerwaty względnie rezerwaty zamknięte, dające możność stałego wglądu nadzorowi tak łowiecko-leśnemu, jak i lekarsko-weterynaryjnemu. Stwarzamy jednak wtedy z drugiej strony sztuczne skupisko zwierząt, sprzyjające rozwojowi epidemii. Wiele bowiem chorób zakaźnych występuje częściej i o większym nasileniu epidemii w miastach przy większym zagęszczeniu ludności, aniżeli na wsi, gdzie ludność jest słabiej zagęszczona. Dlatego też wszystkie większe skupiska zwierzęce wymagają zwiększonej naszej czujności ze względu na możność łatwiejszego w nich wystąpienia epidemii choroby zakaźnej. Na choroby zakaźne wśród zwierząt dzikich z reguły zwracamy uwagę dopiero wtedy, gdy zagrażają one życiu ludzkiemu tak od zwierza żywego, jak i jego zwłok Ma to miejsce zwłaszcza przy takich chorobach zakaźnych, jak: wścieklizna, leptospirosa czy tularemia, które omówimy bliżej w następnym numerze Ł. P.

KYNOLOGIA Łowiecka

STEFAN WIKTOR

Wskazówki do tresury psów i polowań z nimi na lisy w jamach

CZYTAJĄC dokładnie Łowca Polskiego począwszy od pierwszego numeru z r. 1946 nie spotkałem wzmianki o polowaniu z psami w jamach na lisy i inne czworonogie drapieżniki. Polowanie to jest mało znane, uprawiane obecnie tylko częściowo w zachodniej połaci naszego kraju.

Do tego rodzaju polowania posiadamy dwie rasy psów zwanych norowcami, a to wszelkiego rodzaju jamniki i terriery. Rasy te używano od dawien dawna do polowań pod ziemią. Zdania, która z tych ras lepiej się do norowania nadaje, są podzielone i każda ma swych zwolenników. Kiedy przed kilkunastu laty zażądał niemiecki klub foksterrierów, by rasę tę przyjąć do szeregu psów myśliwskich, używanych przede wszystkim do polowań podziemnych na drapieżniki, powstała w całym kynologicznym świecie istna burza Zwolennicy jamnika zarzucili foksterrierowi wyższe nogi od jamnika, które mają jakoby przeszkadzać foksterrierom w wykonywaniu w jamach wymaganej od nich pracy. Jednak przeciwnicy ci zapomnieli widocznie, że lis ma również wyższe nogi od jamnika, które mu zupełnie ani w kopaniu, ani w włażeniu do nory nie przeszkadzają, a te właśnie wyższe nogi foksterriera przedstawiają dodatnią stronę w czasie jego podziemnej roboty. Naturalnie jest tu mowa o psach nie wyższych niż 38 cm, mierzonych w łopatce. Foksterrier włazi do nory zupełnie w ten sam sposób jak lis. Gdy zaś w norze chwyci lisa, to wtenczas na swych prostych, mocnych nogach nieco się wyprostuje, wypręży i zaprze, znacznie lepiej niż jamnik na swych krótkich krzywych łapkach. Pochwycony drapieżnik nie może się tak łatwo wyrwać, często nawet borsukowi nie udaje się poruszyć z miejsca, a zdarzały się wypadki, że pies cofając się w tył i borsuka z nory wyciągał.

Choć historia rasy foksterrierów nie sięga tak daleko wstecz jak historia jamników, to jednak mamy dowody, że w Anglii rasa terrierów była od dawna używana do polowania na lisy i borsuki i jest używana obecnie.

W jakim wieku powinniśmy psa brać do nauki, ściśle określić jest bardzo trudno. Zależeć to będzie przede wszystkim od samego osobnika, którego wyszkolić zamierzamy, od jego indywidualności i zalet wrodzonych. Na ogół foksterriery z powodu swej wrodzonej inteligencji nadają się wcześniej do tresury niż jamniki. Zdarzają się często wypadki, kiedy już z 3-miesięcznym szczenięciem można zacząć tresurę pokojową, a 7-miesięczny pracuje już w jamach. Uczą się one w ogóle bardzo łatwo, szczególnie, gdy młody pies przyjrzy się robocie starszego psa. W wielkiej mierze zależy od tego też w jakich warunkach był nasz uczeń chowany.

Jednym z najważniejszych warunków tresury jest pobudzenie możliwie jak najwcześniej w młodym psie jego wrodzonych pasji do tępienia wszelkich szkodników. W piątym lub szóstym miesiącu należy psa uczyć, ewentualnie najpierw w towarzystwie starszego psa, tępienia myszy, szczurów itp. Złapane myszy wypuszczamy z łapki i szczujemy naszego ucznia, który za przykładem starszego psa w bardzo krótkim czasie w polowaniu tym zasmakuje i należytej wprawy nabierze. Gdy nasz uczeń dobrze już dusi myszy i szczury, to przychodzi kolej na chomiki (naturalnie jeżeli mamy je pod ręka); stworzenia te są nadzwyczaj cięte i dobrze bronić się potrafią, więc nauka ta jest bardzo pożądana. Gdy pies i te gryzonie umiejętnie dusi, zaczynamy naukę na młodych złapanych lisach, mniej więcej w wieku 2—3 miesięcy, kiedy już dostatecznie potrafią się bronić i odgryzać atakującemu psu. Szczułem wtenczas codziennie lisa w pierwszej lepszej zamkniętej ubikacji młodym psem przez 8—10 minut, stosownie do ciętości psa, po czym brałem psa na otok, a młodego lisa usuwałem. Gdy zaprawiony w ten sposób jamnik czy foksterrier nabrał już dostatecznej ciętości, co niekiedy od razu albo dopiero po 12—15 dniach następowało, wtedy należy przystąpić do właściwej nauki, to jest do pracy w jamach, najpierw w norach sztucznych.

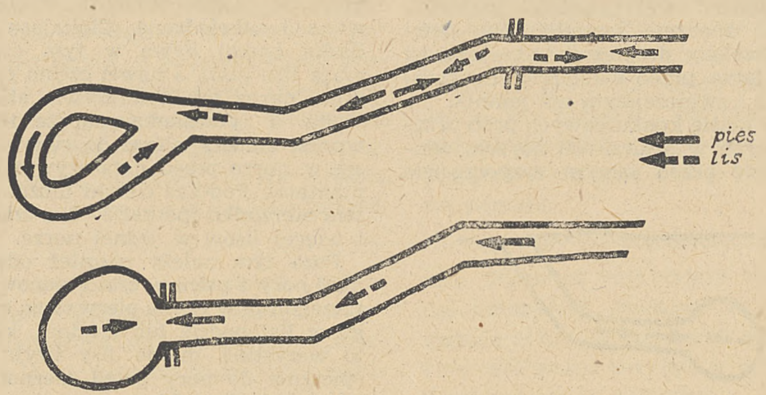
Posiadamy 2 zasadnicze sposoby polowania na lisy w norze przy pomocy norowców: pierwszy polega na dokopywaniu się do lisa w norze, drugi na wypłoszeniu go z jego podziemnej kryjówki. Pierwszy sposób ma łatwe zastosowanie na równinach, gdzie nory lisie znajdują się zazwyczaj dość płytko pod ziemią, a grunt nie jest kamienisty. W miejscowościach jednak górzystych i skalistych kopanie lisów staje się często wprost niemożliwe z powodu twardego terenu i znacznej nieraz głębokości nor.

Mniej więcej między 6—11 miesiącem można przystąpić do właściwej tresury na jamach sztucznych i to oddzielnie uczyć psy do wypłaszania, wypędzania z nory, a oddzielnie inne przeznaczone do nauki osadzania w norach. Chcąc psa, przeznaczonego do wypłaszania, nauczyć jego roboty, kopiemy rów 8 m długi o przekroju 25 x 30 cm, załamany 2 razy (rys. 1). Chodnik ten musi mieć nieprzerwaną ciągłość, uniemożliwiającą zatrzymanie się szkodnika w jamie pod naporem puszczonego psa. Tak wykopaną norę wykładamy deskami z boków i z góry, zaś spodu deskami nie wykładamy. Ważne jest takie urządzenie nory, aby było możliwe odsłonić ją z góry w każdym dowolnym miejscu w razie potrzeby i w celu kontroli zachowania się w niej naszego ucznia. Nora musi być z góry przykryta w poprzek cienkimi deskami, obłożonymi z wierzchu szczelnie darnią, by w niej było całkowicie ciemno. W ten sposób skonstruowana nora jest prosta i bardzo praktyczna. W odległości 1,5 m od wylotu ustawić deskę pionową, umożliwiającą zatkanie chodnika. Przed tą zasuwą należy osadzić z początku tresury mysz lub szczura, potem młodego lisa, a psa zachęcać do zaatakowania go. Gdy atak nastąpi — momentalnie zasuwę podnieść. Wówczas umieszczony tam zwierz ucieka przed psem w głąb nory, a że nie znajdzie nigdzie oparcia wróci ku wyjściu, ścigany przez psa. Gdy wyskoczy należy go zastrzelić, a psu pozwolić na doduszenie go i aportowanie. Za dobrze wykonaną pracę należy psu dać zawsze pochwałę i wynagrodzenie w postaci jakiegoś smacznego kąska. Na tym polega cała tresura psa wypędzającego; ręczę, że po krótkim takim ćwiczeniu wyniki będą doskonałe. Bez dobrego psa wypłaszacza nie probujmy szczęścia w polowaniu w jamach, zmarnujemy masę czasu, w końcu straciły cierpliwość, bo spokojne, a długie wyczekiwanie przed norą, szczególnie na mrozie w styczniu i lutym, do przyjemności nie należy.

Psa przeznaczonego do osadzania i kopania szkodników w jamach układa się odmiennie. Tu należy dbać o to, by pies zapędził kota lub lisa aż do końca nory i tam przed nim leżał, naszczekiwał i atakował go uporczywie przez dłuższy czas, czego świetnie nauczy się w norze (rys. 2). Gdy pies w jamie nie zabawił długo, trzeba go zachęcać do

powtórnego ataku. Dobrym sposobem do zachęcania psa do ataku pod ziemią jest uderzenie parę razy łopatą lub drągiem po ziemi, nad atakującym psem.

Używanie do tej nauki nor o kilku chodnikach i kotłach uważam na początek nauki za nieodpowiednie, gdyż w tego rodzaju norach przy wielkiej ruchliwości i zwinności lisów pod ziemią, nauczyć młodego psa do twardego leżenia przed drapieżnikiem jest oczywiście trudniej. Do tych ćwiczeń najodpowiedniejsze są lisy młode, które pies może łatwiej w jamie umiejscowić, przy czym jest bardzo pożądane, ażeby pozwolić psu od czasu do czasu zadusić młodego lisa, a to w celu przekonania go, że jego wysiłki bywają uwieńczone dobrym rezultatem. O ile zaś do tych ćwiczeń posiadamy tylko lisy starsze, dobrze wyrośnięte, to radzę w początkach tych ćwiczeń wsuwać pomiędzy psa a lisa kratę żelazną. Młody i niedoświadczony pies rzuca się jak szalony na swego przeciwnika sądząc, że go pokona i zadusi również łatwo jak mysz, szczura czy chomika, a wtedy otrzyma tak bolesną i krwawą



rys. 1 i 2

odprawę, że odstraszyć go ona może na czas dłuższy od walki tego rodzaju, a nawet czasem i na zawsze. Gdy pies ostro i dosyć długo atakuje trzeba odkryć jamę nad psem przy kotle i udzielić mu pomocy w walce z lisem oraz ułatwić uduszenie i aportowanie z nory. Aportowanie należy zawsze przećwiczyć parę razy: martwego lisa wkłada się do kotła, a psa zachęca i nakłania łagodnie do ponownego aportowania.

Zarówno psy przeznaczone do wypłaszania jak i osadzania w norze musimy nauczyć aportowania, jest to konieczność, by tresura była kompletna. A więc zaraz z tresurą wstępną uczymy psy aportowania. Rzuca się psu przedmioty miękkie, jak drzewo, skórę, motek ze szmat, piłkę itp., nigdy kamień lub cegłę, co, niestety, tak często jest u nas wśród różnych niedoświadczonych myśliwych praktykowane, a co doprowadza do uszkodzenia zębów i szczególnie końców kłów, tak potrzebnych psu przy pracy w norze. Następnie uczymy psa aportowania z nory sztucznej. W ten sposób przyuczony pies wyciągnie potem zawsze każdą zaduszoną sztukę z jamy.

Młody pies musi się przy tym nauczyć posłuszeństwa i dlatego zaraz od samego początku musimy przyzwyczajać psy w polu i lesie, by trzymały się naszej nogi oraz ignorowały wszelkie ptactwo i tropy zdrowych sarn i zajęcy.

Rzeczą zaś pierwszorzędnej wagi jest nauczanie psa wchodzenia do jamy za śladem drapieżnika, i by w niej go atakował, czyli w początkach nauki nie wolno szczuć na ziemi drapieżników, które pies widzi na oko.

Należy pamiętać, że nigdy nie wolno się skusić i użyć psów wypłaszaczy do stanowienia i kopania lisów w norze. Po kilkakrotnym dodatnim rezultacie kopania lisów przy pomocy takiego psa, łatwo przywyka li tylko do stanowienia lisa w norze, co wykonuje gorliwie, oczekując potem zawsze pomocy myśliwego z góry. Znałem kilka takich zepsutych wypłaszaczy, sam będąc jeszcze młodym, mało doświadczonym myśliwym, bardzo dobrego psa jamnika w ten sposób zepsułem.

Pies, przy którego pomocy można kopać szkodniki, powinien atakować wszystkie czworonogie drapieżniki, nie wyłączając borsuka. W początkach nauki w czasie całej roboty należy szczuć i pobudzać młodego psa do większej odwagi i ciętości, później powinniśmy tego stanowczo zaniechać całkowicie. Dobrze ułożony pies powinien spełniać w norze swoją robotę zupełnie samodzielnie, bez wszelkiej ze strony myśliwego pomocy, zachęty i szczucia. Ustawicznym szczuciem możemy spowodować nieraz popełnienie przez psa fatalnego błędu, tj. szczekania w nieprzeszukanej dokładnie lub nawet w pustej norze.

Tyle o koniecznej tresurze w norach sztucznych, Resztę zrobi już rutyna w norach prawdziwych. W początkach, w norach prawdziwych powinniśmy się starać doprowadzać naszego ucznia tylko do jam z młodymi lisami, z których stare lisy wyszły lub zostały uprzednio wypłoszone. Stara lisica przy młodych jest zbyt niebezpiecznym przeciwnikiem dla młodego psa. Również nie jest wskazane za wczesne puszczanie młodego psa na borsuki, gdyż są one jeszcze bardziej niebezpiecznymi przeciwnikami aniżeli stare lisy.

Umiejętną tresurą można nawet w zupełnie obojętnym psie wzbudzić z czasem i wyrobić pasję myśliwską. Miałem foksa, nagrodzonego na wystawach, który z początku, gdy inne psy ostro atakowały w norze, siedział strwożony przy mnie. Ten sam wkrótce w pojedynkę dusił każdego lisa i wyciągał z nory.

Każdy układający musi przede wszystkim znać dobrze naturę psa i uzbroić się w dużą dozę cierpliwości i wytrwałości. Z psem tak upartym z urodzenia, jakim jest jamnik, do niczego nie doprowadzimy, gdybyśmy zechcieli nakłaniać go do czegokolwiek przemocą. Również foksterriery, które są znowu z natury bardzo pojętne, wrażliwe i inteligentne, dają się łatwo tresować, lecz nie znoszą zbyt surowego z nimi postępowania, zwłaszcza podczas tresury; natomiast dobrocią i cierpliwością wiele daje się osiągnąć z nimi i to w ciągu kilku zaledwie lekcji. Zalecam zatem tresurę łagodną dla obu tych ras. Mniemanie niektórych myśliwych, że jamnika, jako zbyt upartego, niczego nauczyć nie można, a jeśli cokolwiek spełnia to tylko wrodzony instynkt mu w tym dopomaga, jest bezpodstawne i z gruntu fałszywe.

Pozostaje dorzucić jeszcze kilka praktycznych uwag, dotyczących tego rodzaju polowania.

Przy kopaniu są konieczne następujące przybory: ostry krótki nóż, dobra mała, również ostra, siekiera oraz łopata o krótkim drzewcu. Wskazane jest mieć także ze sobą sieci z mocnego sznura o rozmiarach 2 x 2 m, oka do 9 cm w kwadrat, po brzegach z umocnionymi ciężarkami ołowianymi. Służą one do zakładania otworów w jamach o kilku otworach. Konieczna jest również apteczka podręczna z jodyną, dermatolem, watą, bandażem oraz białą nitką i igłą.

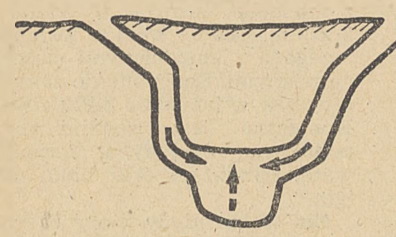
Nie wolno nigdy z obrożą na szyi puszczać psa do nory, gdyż może się w jamie zahaczyć o wystający korzeń i dusić. Również niedopuszczalna jest taktyka wpuszczania do nory dwóch psów od razu. Gdy zastanowimy się nad wewnętrzną budową nory, to łatwo przyjdziemy do przekonania, że 2 psy puszczone naraz, zamiast ułatwić wypędzenie lisa, mo-



Welsh-terrier jest świetnym norowcem

gą łatwo wywołać wręcz przeciwny efekt. Myśliwi, którzy tak rozumują, są w zasadniczym błędzie, bo rzadko kiedy bywa nora tak zbudowana, aby dwa psy mogły w niej swobodnie, a skutecznie zaatakować lisa z przeciwnych sobie stron. Gdy uprzytomnimy sobie budowę takiej nory, to w ten sposób rozgałęziona nora sprzyja tym bardziej ucieczce z niej lisa, a zatem ucieczka ta nie powinna być krępowana obecnością drugiego psa w norze, który właśnie krużganek, umożliwiający lisowi ucieczkę, zatyka sobą. Gdy sobie zaś uprzytomnimy inną norę (rys. 3), w której z powodu jej budowy nie mogą dwa psy z przeciwnej strony lisa zaatakować, to cóż mają one tam we dwójkę do roboty? Będą się obydwa, bezpośrednio jeden za drugim, w stronę lisa darły, przy czym jeden drugiego coraz bardziej pchać będzie naprzód, tak że wreszcie ruchy psa pierwszego, znajdującego się bliżej lisa (rys. 4) będą do tego stopnia skrępowane, że przy atakowaniu nie będzie mógł się ani odrobinę cofnąć i ostatecznie zostanie w straszliwy sposób przez lisa pocięty. Gdy to będzie w dodatku pies młody, to takie poranienie może go tak zepsuć, że już nigdy nie zbliży się do lisa i tylko z daleka oszczekiwać go będzie.

Równoczesna obecność dwóch psów w norze może spowodować jeszcze groźniejsze skutki; może się zdarzyć, że pies podążający tuż za



rys. 3



rys. 4

swym pierwszym towarzyszem, stara się go wyprzedzić za pomocą rokopywania boków nory i dostać się prędzej do atakowanego lisa. Wtedy zrywająca się naraz większa ilość piaszczystego gruntu może łatwo zasypać psa pierwszego, a zdarzało się, że i obydwu.

Praca pod ziemią wcale nie jest łatwa. Pies musi nieraz przez kilka godzin w norze pracować zanim dokopie się miejsca, w którym lisa osadzi. Musimy psy norowce otaczać szczególną opieką, zwłaszcza po odbytych, zazwyczaj krwawych walkach, by im możliwie ulżyć w ich dość często poważnych cierpieniach i umęczeniu. Zadane rany musimy bezwarunkowo opatrzyć, a silnie zasypane oczy piaskiem troskliwie przemyć; każdy z nas wie jak przykre jest uczucie, gdy nawet najmniejsza muszka wpadnie nam do oka. Poza tym po każdym norowaniu powinno się psy wykąpać, a przynajmniej dokładnie wyczesać i wyszczotkować.

Na zadawane mi często pytanie, jakiego psa wolę do użytku i tresury, odpowiadałem, że do użytku wolę takiego, który jest lepiej ułożony, bez względu na płeć, zaś do tresury takiego, który pochodzi z lepszego gniazda. Do wypłaszania nadają się psy mniejsze, które się swobodnie w norze mogą poruszać. Z praktyki przekonałem się, że lisy mają w jamie mniej strachu przed zębami psa aniżeli przed jego gwałtownością, hałaśliwością i ruchliwością w norze. Psu, używanemu do wypłaszania lisów z nor, nie wolno w niej pozostawać zbyt długo (15 — 20 minut), powinien się tam sprawować jak najruchliwiej i jak najgłośniej, po tym czasie wyleźć z nory, aby lisowi dać możność ucieczki. O ile lis nie chce nory opuścić należy ataki wznowić z innej strony, tak by lisowi obrzydzić pobyt w norze. Gdy lis wyskoczy, pies powinien wyjść i dać się złapać na otok. Lis przerażony energicznymi atakami w norze, przed wyjściem z nory wietrzy wpierw u wylotu przez parę sekund, by potem w szalonym pędzie z nory wyjechać.

Próby konkursowe w sztucznych norach dowiodły, że foksterriery pod względem swej zaciętości przewyższają znacznie jamniki. Na ziemi postrzelony drapieżnik nie uchodzi tak łatwo przed foksterrierem, szybszym i zwinniejszym niż jamnik.

W czasie konkursowych prób urządzanych w sztucznych norach, winno się przed samym rozpoczęciem prób psa średnio nakarmić lekko strawnym pożywieniem, natomiast dnia poprzedniego wieczór należy mu dać obfitą i treściwą karmę. Przed konkursem należy psu dać możność załatwienia swych naturalnych potrzeb. Psy, które w czasie konkursowych prób czekają na swoją kolej, należy trzymać zawsze jak najdalej od miejsca, gdzie próby się odbywają. Wielkim błędem jest trzymanie psa nieraz całemi godzinami na otoku przy nodze, gdyż pies się denerwuje, niecierliwi i traci wiele na energii.

Chcąc osiągnąć jak najlepsze rezultaty w polowaniu na lisy w norach trzeba przede wszystkim dbać i otaczać właśnie te nory jak największą opieką. Rozumie to dobrze każdy myśliwy, który uprawia tego rodzaju polowania, będące nie tylko miłym sportem łowieckim, ale dające najłatwiejszy i najwydatniejszy rozkład. W każdym łowisku znajduje się zawsze kilka nor, które co roku są przez lisy zajmowane. Zdarza się jednak czasem, że jedna z takich nor jest przez lisy zupełnie omijana, powodem tego jest najczęściej mocno zestrzelany lis, który się do niej schował i w niej żywota dokonał.

W takim wypadku winy właścicielowi łowiska przypisywać nie można. Popełniają oni jednak często inne błędy, gdy różnymi niestosownymi środkami sami się przyczyniają do zniszczenia nor. Do tych należy stosowany u nas dość często sposób wykurzania lisów za pomocą zakładania ogniska u wylotu nor. Lisy tak zakurzonych nor, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej przez szereg lat unikają. Tego rodzaju postępowanie uznać należy za barbarzyńskie i nie mające nic wspólnego z racjonalnym myślistwem. Dymem uduszony lis najczęściej zostaje nieżywy w norze, co pozostaje bez żadnej korzyści dla myśliwego.

Zachodzi ważne pytanie, w jakim czasie można lisy zastać w norze. Przede wszystkim w czasie ich cieczki, to jest od mniej więcej 20 stycznia do końca lutego. W tym okresie wszystkie zamieszkałe nory są we wczesnych godzinach rannych przez lisy samce skrzętnie wyszukiwane i odwiedzane. Ciekająca się liszka (suka) bywa w tym czasie przez lisa (psa), a nawet często przez kilka naraz tak natarczywie atakowana i prześladowana, że to ją wprost zmusza nieraz do schowania się w norze przed natarczywymi amantami. Podczas cieczki można zatem nierzadko spotkać 2—3, a czasem i więcej lisów w jednej norze.

Poza tym należy również odwiedzać nory z psem w czasie ponowy, a szczególnie w czasie pierwszego śniegu w listopadzie lub grudniu, kiedy to wszystkie młode lisy kryją się spiesznie do nory przed nieznanym im dotąd zjawiskiem.

ZAGADKA.

(zdarzenie autentyczne).

Kocioł się kończy, naganka wchodzi do środka. Z podorywy zrywają się 2 zające i szorują jeden o 5 — 10 metrów za drugim akurat w środek między dwu myśliwych, stojących od siebie o jakieś 70 kroków.

Jeden z nich woła: „Kolego! Wy jednego„ a ja drugiego!

Na dalsze umawianie się nie było już czasu, gdyż szaraki przeszły na zewnętrzną stronę kotła.

Padły cztery szybkie strzały. Pierwszy zając idzie dobrze, drugi skurczył się, zwolnił i po przejściu kilkunastu metrów wywrócił się.

„Ja do drugiego strzelałem" — zawołał jeden z myśliwych.

„I ja do drugiego strzelałem" — oznajmił pośpiesznie drugi.

Sytuacja trudna — zając sporny.

A tymczasem pierwszy zając po przejściu kilkuset metrów wywrócił się na oczach wszystkich.

Kto strzelił do pierwszego zająca?

WACŁAW TARASEWICZ
Lek. Wet.

O OPIECE NAD SZCZENNĄ SUKĄ

PLANOWANY na szerszą skalę rozwój racjonalnej hodowli wartościowych psów myśliwskich każe przypuszczać, iż poważnie zwiększą się szeregi hodowców rasowego psa myśliwskiego i to nierzadko spośród osób, które dotychczas z hodowlą psa nie miały do czynienia. Hodowcami będą w tych przypadkach posiadacze rasowych psów o walorach myśliwskich, przeznaczonych do rozpłodu, dostarczających wartościowych szczeniąt dla celów łowiectwa. Ponieważ znajomość zasad hodowli i chowu psa w naszych warunkach uznać należy powszechnie za mocno niewystarczającą — przeto zmusza to do zapoznania, szczególnie hodowców początkujących, z podstawowymi wiadomościami, dotyczącymi chowu psa rasowego, a szczególnie pielęgnacji suk, które wymagają w pewnych zwłaszcza okresach — jak zresztą każda samica — pieczołowitej opieki. Odnosi się to szczególnie do tych hodowców i myśliwych, którzy zamieszkują zdala od ośrodków posiadających lekarzy weterynaryjnych i muszą w okresie ciężkim dla suki, a z reguły w czasie ciąży i porodu, przez pewien czas sami sobie radzić, dopóki nie zostanie nawiązany kontakt z lekarzem, co nieraz nie jest takie łatwe i szybkie. Stąd znajomość pewnych objawów, zwłaszcza natury chorobowej u zwierzęcia, odgrywa pierwszorzędną rolę i nierzadko decyduje o utrzymaniu przy życiu naszego wartościowego i oddanego nam towarzysza.

Oczywiście, że obok znajomości przejawów fizjologicznych zwierzęcia, niezbędna jest także stała i baczna obserwacja, która wskaże nam natychmiast na złe samopoczucie u psa, co przyczyni się do zapobieżenia w rozwoju choroby lub w komplikacjach połogowych, przez przyjście zwierzęciu z natychmiastową pomocą.

Przystępując do hodowli, należy spośród szczeniąt, co najmniej 8-tygodniowych, wybrać starannie suczkę, która ma nam służyć jako materiał hodowlany. Od szczenięcia karmimy ją racjonalnie, dając dobry i treściwy pokarm, bogaty w witaminy (mięso surowe — najbardziej wartościowe jest wołowe, wapno, tran), dużo ruchu na powietrzu i nie zmuszając do pracy w łowiectwie, dopóki nie będzie zupełnie rozwinięte oraz nie narażając na przemęczenie i przeziębienia.

Należy bacznie śledzić jej rozwój i uważać na wszelkie choroby jakie będzie przechodzić, które mogą zostawić ślady na przyszłym pokoleniu.

Przede wszystkim należy uważać, by nie uległa jakiemu wypadkowi lub uderzeniu, powodującemu połamanie tylnych kończyn, czy uszkodzenie wewnętrzne, jak np. złamanie miednicy.

RUJA I KRYCIE

Suka doznaje zwykle pierwszej rui w wieku 8—9 miesięcy. Jest to znak pewnej dojrzałości już płciowej. *Pierwszą ruję należy stanowczo przepuścić.* Następne ruje występują różnie, w zależności od rasy, i na ogół można przyjąć, że cykl ten powtarza się co pół roku.

Kryć sukę należy dopiero przy trzeciej rui, a wyjątkowo należy dopuścić do krycia podczas drugiej, pod warunkiem, że suka jest już doskonale rozwinięta. W żadnym jednak razie nie wolno nam używać do rozpłodu suk rachitycznych, zbyt tłustych lub kalek, jak również suk za starych.

Nie należy również czekać z kryciem do wieku 5—6 lat, ponieważ brak elastyczności dróg rodnych może być przeszkodą w porodzie.

Przystępując do krycia należy uprzednio już wyszukać odpowiedniego reproduktora, bowiem nie wystarczy, by pies był tej samej rasy i optycznie piękny. Reproduktor nie może być młodszy od 18 miesięcy wieku, ani też za stary; najlepszy wiek jego to — od 2 do 6 lat. Ponadto dobrze jest wiedzieć jakie miewał potomstwo, jakie cechy przeważają u jego rodzeństwa i przodków, i czy nie ma jakich naleciałości atawistycznych. Zebrane te dane należy porównać z wiadomościami dotyczącymi suki i jej rodziny, i wówczas stwierdzić czy dany pies się nadaje. Do tych celów służą specjalnie prowadzone rejestracyjne księgi kynologiczne i rodowody, z których w takich razach należy korzystać.

Dla tak racjonalnie prowadzonej hodowli nie należy szczędzić zachodu, ani kosztów, choćby przyszło jechać z suką bardzo daleko. Tak właśnie postępuje prawdziwy i dobry hodowca, który dba o podniesienie rasy i walorów użytkowych psów, pochodzących z jego hodowli. W wypadku przeciwnym — zbyt wielkie następuje rozczarowanie, gdyż miot przynosi szczenięta mieszane i bezwartościowe, co bywa rezultatem łączenia osobników sobie nieodpowiednich lub też, gdy suka kryta jest przez parę psów podczas jednej rui.

Okres rui trwa do 21 dni. Suki bywają wtedy podniesione i nerwowe, dradzają chęć do częstych spacerów i dlatego też — abyśmy nie zostali „hodowcami mimowoli" — trzeba nie spuszczać oka z suki, albo nawet lepiej, suki ze smyczy, mając na względzie zawodowych uwodzicieli, dla których ani pokarm, ani siatka nie stanowią przeszkody.

W czasie rui srom i pochwa suki jest obrzmiała i wydobywa się z niej, mniej lub więcej obficie, ciecz śluzowo-krwawa. Sukę należy dopuścić do krycia w okresie od 10 do 14 dnia, bowiem praktyka wykazała, że właśnie w tym czasie najłatwiej dochodzi do zapłodnienia.

Również w tym okresie suka bywa najbardziej chętna, co widać z odpowiedniego ustawiania się jej. Jeżeli za pierwszym razem suka nie objawia chęci przyjęcia psa. nie należy jej zmuszać i krycie powinno się odłożyć do dnia następnego, lub dalszych. Wskazanym jest doprowadzać sukę do psa, celem krycia dwukrotnie, w odstępie 24-godzinnym. Uważa się, że suka została pokryta prawidłowo, jeżeli nastąpiło połączenie trwające około pół godziny. Od ilości kryć nie zależy absolutnie ilość szczeniaków. Nie należy pozwalać na zbyt częste spółkowanie,

gdyż może to wywołać erotyzm, a często nawet i bezpłodność.

Krwawienie może ustać po pierwszym kryciu, ale na ogół pomimo zapłodnienia, trwa około 21 dni.

Zaraz po pokryciu należy wypełnić kartę kopulacji podpisaną przez właścicieli obu psów i natychmiast przesłać do odpowiedniej miejscowo Odziałowej Rady Związku Kynologicznego, celem rejestracji faktu.

CIĄŻA

Ciąża trwa około 9 tygodni; u ras dużych nieco dłużej (63 do 68 dni) niż u ras małych (58—62 dni).

Przekroczenie 68 dni należy uważać za wypadek patologiczny. Znaki zewnętrzne ciąży zaczynają być widoczne około 40 dnia. Obserwuje się wtedy rozwój sutek i brzucha, który cały się powiększa, a specjalnie w części dolnej. W ostatnich dwóch tygodniach suka staje się coraz bardziej ociężała, chód jej jest ciężki i często się pokłada.

Podczas całego okresu ciąży należy otaczać sukę specjalną opieką i serdecznością, nie tresować, nie krzyczeć na nią i w żadnym wypadku nie bić i nie denerwować, gdyż w ten sposób można łatwo u niektórych suk wywołać poronienie.

Odżywiać trzeba ją intensywnie, z większą ilością mięsa i tłuszczu. Oszczędzać ją także należy w pracy myśliwskiej, a od 4-go tygodnia w ogóle nie zabierać na polowanie, wychodząc natomiast z suką na spacery, najwyżej pół godzinne — 3 razy dziennie.

Jeszcze *przed kryciem, albo w pierwszych dniach po kryciu, należy sukę odrobaczyć. Nie można dawać na przeczyszczenie, ani odrobaczać suki w II połowie ciąży.*

Począwszy od drugiej połowy ciąży pożywienie winno się stawać coraz bardziej treściwe, tj. jak najmniej karmy „objętościowej" (kartofli). Do każdego posiłku obowiązkowo należy dodawać wapno fosforowane (Calcium phosphoricum), ponieważ szczenięta rosnące czerpią wapno z organizmu matki. Jeżeli u suki zajdzie zaburzenie w gospodarce wapniowej na skutek braku wapna w organiźmie, to suka może dostać tak zwanej *tężyczki* przed lub poporodowej. Suka traci wtedy przytomność, zieje, ma drgawki, i o ile *natychmiast nie dostanie* zastrzyku z wapna, następuje wówczas w ciągu paru godzin śmierć.

Należy więc stale mieć na uwadze, że *wapno jest nieodzownym warunkiem utrzymania przy życiu suki i zapewnienia szczeniętom zdrowia, sił i ochrony przed rachityzmem.*

Na tydzień przed rozwiązaniem winno się suce dawać dużo płynów, mleka, zupek mączno-mlecznych itp. w celu powiększenia ilości pokarmu.

Podczas ciąży suka winna mieć swoje własne czyste i ciepłe posłanie, zdala od hałasów, w mroku i bez przeciągu; bezwzględnie nigdy w kuchni, dla potrzebnego jej spokoju i ze względu na zapachy nęcące powonienie.

PORÓD

Przed porodem suka staje się niespokojna i podniecona, często zieje, temperatura spada o stopień niżej od normalnej. Brzuch opada, z pochwy wydziela się śluzowa ciecz.

Suka zdrowa i wysportowana w większości wypadków nie potrzebuje pomocy przy rodzeniu.

Początek porodu jest ciężki i bolesny z powodu skurczów macicy i wysiłków w celu rozszerzenia szyjki macicznej. Suka szarpie i rwie posłanie. Po odejściu wód zaczyna się poród właściwy.

Małe rodzą się przeważnie w odstępach 25 do 30 minut, czasem rodzą się po dwa, to jest jeden za drugim.

Matka oczyszcza je z błony, z resztek łożyska, odgryza pępowinę, dokładnie wylizuje i szczeniaki zaczynają ssać.

Suka przeważnie pożera łożysko Gdy ciąża przechodzi normalnie, nie ma powodu zabraniać jej tego, przeciwnie, niektóre części łożyska po zjedzeniu wzmagają czynność gruczołów mlekowych. W wypadku płodów martwych nie należy dopuszczać do zjedzenia łożyska ze względu na rozpoczynający się rozkład.

Ilość szczeniąt zależy od osobników i od ras przez nie reprezentowanych. U pierworodek mioty mogą być mniejsze.

Zdarza się dość często, że pierworódki albo niedożywione lub nieprawidłowo żywione suki pożerają swe małe. Powody są różne: albo pewna deformacja psychiczna, albo też reakcja na bóle pochwy i sutek, lub też z powodu braku soli mineralnych i wapna w organiźmie.

Należy bardzo czuwać nad czystością posłania suki, jak również podawać jej często w stanie płynnym pokarmy wzmacniające i orzeźwiające, jak np. ciepłe mleko, bawarka, zupy mleczne — wszystko z pewną ilością wapna fosforowanego. Przynajmniej dwa tygodnie po połogu nie należy suki kąpać, by nie wywołać krwotoku.

W wypadku, gdy suka po porodzie odmawia jedzenia, ma gorączkę, zieje, ma drgawki, jest nadmiernie podniecona, lub robi wrażenie nieprzytomnej — są to objawy odbiegające od normy i należy wtedy udać się *jak najszybciej* po pomoc *lekarską,* o którą zawczasu należy tak się postarać, by w kilka godzin najdalej mogła być już na miejscu. Unikniemy w taki sposób utraty naszej cennej suki - towarzyszki, która zarobiła u człowieka na pomoc, zrozumie ją i potrafi się odwdzięczyć.

Dołożona zaś troskliwa opieka nad suką świadczyć tylko będzie dodatnio o jej panu, jako o dobrym hodowcy, postępowym gospodarzu i wartościowym myśliwym.

Doświadczony hodowca
nie pozbywa się nigdy rasowej suki!

Konkursy Wyżłów w Chojnicach

W dniach 16 i 17 września 1950 r. odbyły się III Ogólnokrajowe Konkursy Wyżłów kontynentalnych i angielskich w Chojnicach.

Komisję sędziowską stanowili:

I. Dla wyżłów kontynentalnych:

Przewodniczący:

Dr. Jan Łukowicz — Chojnice,

Sędziowie:

Kol. Inż. Jarema Wodziński — Wrocław,
Kol. Jan Kurnatowski — Poznań,
Kol. Roman Kaźmierczak — Inowrocław.

Asystenci:

1. Egon Raszke — Bachorze, Pow. Chojnice,
2. Stefan Orlikowski — Plaskorz, Pow. Tuchola,
3. Władysław Zaborski — Łódź,
4. Mgr. Lubomir Smyczyński — Katowice,
5. Józef Misiak — Komierowo.

II. Dla wyżłów angielskich:

Przewodniczący:

Inż. Jarema Wodziński — Wrocław.

Sędziowie:

Kol. Zygmunt Tarnowski — Warszawa,
Kol. Andrzej Śliwiński — Warszawa,

Asystenci:

Kol. Józef Misiak — Komierowo

W Konkursach kolejność miejsc zajęły następujące psy:

WYŻŁY KONTYNENTALNE:

I. miejsce — Cezar — pies gładkowłosy, właśc. Rajnold Kurowski — Łódź, mener, Przybyła Walenty — Rożniaty 235 pkt.

II. miejsce — Bella — suka pointer, właśc. Dr H. Klawe, Wrocław, mener H. Łukowicz, Chojnice — 63 pkt.

III. miejsce — Ferry — suka pointer, właśc. Związek Kynologiczny, Warszawa, mener J. Masny, Mroków — 61 pkt.

IV. miejsce — Rex — pies pointer, właśc. i mener H. Goebel, Brusy — 49 pkt.

V. miejsce — Boy — pies pointer, właśc. J. Radwański, Koluszki, mener H. Łukowicz, Chojnice — 64 pkt.

Przeznaczone nagrody Komisja rozdzieliła następująco:

5.000 zł. P. R. Ł. Chojnice dla najlepszego psa z powiatu chojnickiego — suka „Dona" — Kol. H. Zimnego.

5.000 zł. nagroda Woj. Rady Łow. Gdańsk dla najlepszego wyżła kontynentalnego — pies „Cezar" — W. Przybyła, Inowrocław.

3.000 zł. nagroda Oddz. Rady Kynologicznej Chojnice — dla najlepszego psa Oddziału — suka „Bella" — I. Wytrążek, Sępólno.

Pokrowiec na strzelbę — nagroda W. R. Ł. Toruń — pies „Rex" — St. Zawierucha, Inowrocław.

5.000 zł. nagroda K. Wyk. Zw. K. Warszawa dla najlepszego menera psów kontynentalnych — W. Przybyła, Inowrocław.

3.000 zł. nagroda K. W. Zw. Kynol. Warszawa, dla drugiego menera psów kontynentalnych — L. Jaranowski, Warszawa.

5.000 zł. nagroda K. W. Zw. K. Warszawa dla menera psów angielskich — J. Masny.

5.000 zł. nagroda K. W. Zw. K. Warszawa dla menera psów angielskich — H. Łukowicz.

Pas i obroża — nagroda Związku Kynolog. Katowice dla najlepszego psa angielskiego — J. Lange, Warszawa.

Skórzana torba myśliwska — nagroda P. Z. Ł. Warszawa — za najlepszą pracę na farbie — pies „Dunaj" A. Stankego, Wieck, p-ta Chojnice.

2.000 zł. nagroda Oddz. Rady Kynologicznej Chojnice za pracę psa „Rexa" — Fr. Byś, Łyskowo, p. Tuchola.

3.000 zł. nagroda K. W. Zw. K. Warszawa — suka „Bella" za dobrą pracę na farbie — I. Wytrążek, Sępólno.

4.000 zł. — J. Szambelańczyk, Olsztyn — za pracę nad psem.

4.000 zł. — B. Kocikowski, Jacewo — za pracę nad psem.

3.000 zł. — E. Goebel, Brusy — za dobrą kondycję starego psa.

2.000 zł. — Fr. Byś, Łyskowo, p. Tuchola — za pracę nad psem.

2.000 zł. — L. Jaranowski, Warszawa — za pracę nad psem.

Ponadto Komisja przyznała dyplomy następującym wyżłom:

I. „Bella", suka szorstkowł., właśc. treser i mener I. Wytrążek, Sępólna — dyplom na I. nagr.

I. „Dunaj z Dworu św. Huberta", pies szorstkowł., mener, treser i wł. A. Stanke, Wieck, p. Chojnice — dyplom na I. nagr.

II. „Cezar", pies gładkowłosy, wł. R. Kurowski, Łódź, treser i mener W. Przybyła, Rożniaty, p. Inowrocław — dyplom na II. nagr.

II. „Trop", pies szorstkowł., wł., mener i treser L. Jaranowski, Warszawa — dyplom na II. nagr.

III. „Dona" suka gładkowł., wł., mener i treser K. Zimny, Chojnice — dyplom na III. nagr.

III. „Rex", pies szorstkowł., wł. i mener St. Zawierucha, Inowrocław — dyplom na III. nagr.

III. „Rex", pies szorstkowł., wł., treser i mener Fr. Byś, Łyskowo, p. Tuchola — dyplom na III. nagr.

III. „Asi", suka szorstkowł., wł., mener i treser B. Kocikowski, Jacewo, p. Inowrocław — dyplom na III. nagr.

III. „Asi", suka szorstkowł., wł., mener i treser J. Szambelańczyk, Leśn. Mitelki, p. Olsztyn — dyplom na III. nagr.

Konkursom przewodniczył viceprezes Zw. Kynologicznego Dr Jan Łukowicz, który po ukończeniu imprez wygłosił piękne przemówienie okolicznościowe do licznie zebranych osób. Były to najbardziej interesujące i liczne próby polowe wyżłów, jakie odbyły się po wojnie w kraju.



Otwarcie Konkursów fot. H. Łukowicz



„Dona" na tropie

»Łuski metalowe«

Artykuł kol. Z. Jasińskiego pt. „Łuski metalowe", zamieszczony w Łowcu Polskum w numerze 7—8 ub. r. przeczytałem z uwagą i zainteresowaniem. W naszej łowieckiej literaturze odczuwa się całkowity brak dzieł traktujących chociażby przy okazji sprawę elaboracji metalowych łusek i każdy z myśliwych, który pragnie używać ich — napotyka na trudności. Toteż uważam, że wzmianka o elaboracji metalowych łusek jest pożyteczna i celowa. Jeżeli chodzi o artykuł i spostrzeżenia kol. Z. Jasińskiego, to, moim zdaniem, najsłuszniejsza jest w nim uwaga redakcji. Trzeba przyznać, że kol. Jasiński poświęcił wiele uwagi i czasu sprawie elaboracji łusek metalowych. Jednak wszedł na niewłaściwą i zbyt kosztowną drogę. **Łuski metalowe służą do strzelania wyłącznie prochem dymnym.**

W kolejnych punktach postaram się zaznajomić szanownych kolegów z elaboracją metalowych łusek.

1. Nabywać należy przede wszystkim łuski mosiężne, których „długość życia" przekracza średnio 10-krotnie „długość życia" łusek żelaznych, ulegających szybszemu zniszczeniu.

2. Łuskami mosiężnymi należy strzelać tylko z jednej strzelby, wypożyczać ich w żadnym wypadku nie można, bo jeśli trafi się komora cośkolwiek rozdęta, to łuska już po jednym strzale ulegnie deformacji i nie będzie pasowała do komór macierzystych. Gdyby dubeltówka miała komory nie jednakowej średnicy, to należy łuski poznakować i strzelać nimi z tych komór, do których je przeznaczono.

3. Nowokupione łuski mają długość do 76 mm i nie pasują do komór 65 mm, należy więc piłką do metalu ściąć 5—6 mm brzegu od wierzchu łuski. Czasami łuski mają zbyt grubą kryzę, wtedy należy pilnikiem spiłować ją, ale od strony wewnętrznej i dopasować tak, by łuska nie wystawała poza komorę.

4. W ten sposób przypasowane łuski nie wymagają kalibrowań aż do końca swego długiego „życia", jeśli będą używane do tych samych komór. Przeciętna długość „życia" mosiężnej łuski wynosi u dwunastki 200—250 strzałów, a u szesnastki 250—300 strzałów.

5. Proch dymny po strzale zostawia sporo sadzy w łusce. Sadze te są bardzo higroskopijne. Jeśli wsypiemy do takiej łuski prochu, to już po paru godzinach nasiąknie on wilgocią, dając w rezultacie zbyt słabe ciśnienie. Wadę tę usuwa się łatwo, a mianowicie łuski mosiężne przed każdą elaboracją należy postawić na suchej patelni i ograć powyżej stu stopni. Zabieg ten na Syberii nazywa się „suchym smażeniem".

6. Starą spłonkę usuwa się przez wyciśnięcie jej od środka szewskim szpilarem odpowiedniej grubości wprowadzonym przez otwór w środku kowadełka.

7. Nową spłonkę zakłada się do pustej łuski w następujący sposób: stawia się łuskę dnem do góry na ołowianej płytce, by nie zdeformować brzegów i wbija się spłonkę żelaznym młoteczkiem tak, by nie zniszczyć wnęki kowadełkowej. Spłonkę można wbijać śmiało, prawdopodobieństwo wybuchu spłonki przy takim zakładaniu jest jak 2 : 1000, a prawdopodobieństwo niewypału na skutek zniszczenia spłonki jak 3 : 1000.

8. Prochu sypie się ilość przewidzianą normami dla prochu dymnego. (vide Downar-Zapolski „Dubeltówka śrutowa, nabój, strzelanie).

9. Proch należy zakryć tekturową przybitką o średnicy równej światłu łuski.

10. Przybitka wojłokowa na proch powinna mieć średnicę większą od światła łuski: przy wojłoku twardym o 1 mm, przy wojłoku miękkim o 2 mm. Grubość wojłoku w stanie niezgniecionym powinna wynosić 15—17 mm.

11. Na wojłok można dać przybitkę tekturową o średnicy równej światłu łuski.

12. Śrutu sypie się ilość przewidzianą normami (vide Downar-Zapolski „Dubeltówka śrutowa, nabój strzelanie").

13. Śrut zamyka się przybitką tekturową, która ma spełniać rolę zawijania w łuskach papierowych. Do tego celu służą przybitki ze średnio twardego kartonu, grubego co najmniej na 2 mm, o średnicy 1,5 mm większej od światła łuski, którą wciska się drewienkiem płasko zakończonym, o średnicy 1 mm mniejszej od światła łuski. W tak przygotowanym naboju brzegi łuski powinny wystawać 3 do 5 mm nad wciśniętą, zamykającą nabój przybitką tekturową. Następnie rozgrzewa się do wrzenia w metalowym kubeczku parafinę lub lepiej parafinę z dodatkiem 15% wosku i wrzącą wlewa się na tekturkę zamykającą aż po brzegi łuski, a po chwili zlewa się ją z powrotem do kubeczka, zostawiając na tekturce warstwę parafiny na grubość 1—2 mm. Zależnie od ilości zostawionej parafiny zamknięcie naboju będzie słabsze lub silniejsze. Jeśli chodzi o opór w nabojach w ten sposób przygotowanych, to wyniósł on średnio na 25 prób 24,6 kg. Natomiast naboje papierowe produkcji „Pionek" z prochem bezdymnym wykazały na 10 prób średnio 21,4 kg, a na 10 prób naboi dymnych opór wyniósł średnio tylko 17,2 kg.

14. Na zakończenie elaboracji pozostaje oczyszczenie zewnętrznej strony łusek od parafiny, która mogła spłynąć przy przelewaniu jej. Zalewanie parafiną ma tę wyższość nad wszelkiego rodzaju zaklejaniami, że przebiega bardzo szybko i łatwo. Stosowanie korka do zakrywania mija się z celem, bo korek już po paru godzinach przybiera kształt wypełnionego naczynia i prawie przestaje cisnąć na ścianki łuski.

Strzelectwo standowe dla każdego

W. ZABIEŁŁO

Myśliwi potrzebują więcej spłonek

Myśliwi potrzebują więcej spłonek **do wykonania planu sześcioletniego** i to zagadnienie trzeba bezwarunkowo rozwiązać pozytywnie.

W łowiectwie, jak w każdej innej dziedzinie gospodarczej, obowiązuje wykonanie planu, nie mówiąc już o tym, że wykonanie wielkiego Planu Sześcioletniego obudziło we wszystkich wykonawcach tego skomplikowanego przedsięwzięcia państwowego ambicję, aby nie pozostać w tyle i nakreślony plan wykonać z nadwyżką.

Jeżeli mówi się o tym, że powinniśmy dojść w ciągu najbliższych lat (do roku 1955 włącznie) w naszych osiągnięciach do produkcji 0,66 kg dziczyzny z 1 ha i na tej podstawie powinniśmy liczyć na wynik eksploatacyjny w roku 1955, wyrażający się cyfrą 6 milionów kg dziczyzny, to znaczy, że preliminujemy odstrzał bardzo skromnie, gdyż zaledwie 30% pogłowia zwierzyny.

Dlaczego zmuszeni jesteśmy tak skromnie preliminować, podczas gdy wiemy, że samych zajęcy — a to jest pozycja podstawowa — mamy prawo — bez naruszenia podstaw hodowli — odstrzeliwać w łowiskach dobrze zagospodarowanych 60—70%?

Odpowiedź na to jest jedna. Budżet myśliwego po stronie wydatków zawiera wiele pozycji obciążających, jak składka do PZŁ, składki w kółku myśliwskim, ofiara na budowę Domu Łowieckiego, ekwipunek myśliwski, a w związku z każdym polowaniem koszty: przejazdów w teren, wynagrodzenia naganki, furmanek, przeżywienia siebie i naganiaczy, wreszcie przy polowaniu w lasach państwowych lub na terenach PGR dochodzą jeszcze opłaty za odstrzeloną zwierzynę itp. W związku z tak znacznymi kosztami występuje konieczność liczenia się z wydatkiem na drogie naboje fabryczne i zastępowania ich nabojami własnej produkcji, które kalkulują się około 32% taniej. Oto zestawienie:

Nabój fabryczny 1.65 zł.

Nabój własnej elaboracji w używanej łusce:

1.	spłonka	0.30 zł
2.	proch bezdymny	0.30 zł
3.	śrut	0.20 zł
4.	przybitki	0.16 zł
	razem	0.96 zł

Przyjmując, iż łuskę można użyć 4 razy, widzimy, że koszt czterech nabojów wyniesie złotych 1.65 + 0.96 × 3 = 4.53 zł, czyli jeden nabój kosztuje 1.13 zł, tj. 68% ceny naboju fabrycznego.

Poza tym wyłania się jeszcze inny aspekt tej sprawy. Posługiwanie się wyłącznie nabojami fabrycznymi prowadzi do marnotrawienia raz wystrzelonych łusek, które z powodzeniem mogą być jeszcze kilkakrotnie użyte przy elaboracji nabojów we własnym zakresie.

Z obu tych względów jak najbardziej wskazane jest korzystanie z będących w handlu osobnych elementów nabojowych i z własnej elaboracji. Lecz tu czynnikiem hamującym stał się ustawicznie niedostateczny przydział spłonek typu „Gévelot". Brak ich, jak dotychczas bardzo dotkliwy, tłumaczy się tym że spłonek nie produkujemy w kraju, zmuszeni jesteśmy je importować, przy czym napotykamy na duże ograniczenia w stosunku do naszego rzeczywistego zapotrzebowania.

Jeśli zważyć, że przy sprzyjających okolicznościach cyfry osiągalnej rocznie dziczyzny mogłyby być śmiało podniesione do 50% odstrzału pogłowia zwierzyny (biorąc w przecięciu wszystkie gatunki razem) bez naruszenia podstaw hodowli, to osiągnięcie tego odstrzału (około 1.700.000 sztuk w r. 1950 do około 3.400.000 sztuk w r. 1955) wymaga przy przeciętnej średniej sprawności myśliwych około 6.000.000 w r. 1950, do około 12.000.000 w r. 1955 strzałów. Dodając do tego naboje potrzebne do odbywania zaprawy na strzelnicach w ilości około 40% wystrzelonych do zwierzyny, widzimy, iż ogólne zapotrzebowanie nabojów śrutowych przedstawia się w cyfrach od 8,5—17 milionów sztuk rocznie w okresie najbliższych lat, do 1955 roku włącznie.

Biorąc pod uwagę oszczędność na łuskach przy użytkowaniu każdej łuski 4 razy, należy stwierdzić, iż koszt jej rozkładałby się na kolejno elaborowane w niej naboje, przynosząc oszczędność 52 gr na każdym. Innymi słowy zaoszczędzilibyśmy przeciętnie około 6 (sześć) milionów złotych rocznie (w omawianym okresie czasu).

Dla osiągnięcia tych celów konieczne są spłonki w ilości pokrywającej się z ilością oddawanych strzałów, a więc od 8,5 — 17 mln. szt. rocznie, zgodnie ze wzrastającymi cyframi planowanej dziczyzny łącznie z osiągalną na podstawie sprzyjających warunków naturalnych nadwyżką tego planu w latach 1950 — 1955.

Jeżeli spłonki mogą wytwarzać ZSRR i Czechosłowacja, nie widzimy przeszkód, dla których nie moglibyśmy wskrzesić tej produkcji u nas (skoro istniała przed wojną), aby stać się samowystarczalnymi dla potrzeb własnego łowiectwa. Wytwórnia spłonek mogłaby być z łatwością połączona z wytwórnią pocisków do sportowej broni małokalibrowej, których dotkliwy brak odczuwa również rozwijający się wśród młodzieży sport strzelecki.

Z wytwórczością własną tych elementów łączy się ściśle — w myśl prowadzonej akcji zwalczania wszelkiego marnotrawstwa — zbiórka złomu metalowego z wystrzelonych nabojów, a więc w pierwszym rzędzie zużytych spłonek, a następnie okuć z niezdatnych już do użytku łusek.

Przy należytej ocenie istotnych potrzeb łowiectwa, zgodnie z postulatami dyktowanymi przez dążenie do zdobycia za pomocą odstrzałów właściwego poziomu tej pozycji gospodarczej, sprawa produkcji spłonek do nabojów śrutowych staje się paląca, winna być przeto szczegółowo rozważona i konsekwentnie odpowiednio zrealizowana.

niezbędną zaprawą myśliwego

WSKAZÓWKI Łowieckie

na styczeń i luty

Zające, jarząbki i **bażanty** strzelamy do 21 stycznia. Terminy powyższe przedłużone zostały specjalnym zarządzeniem Ministerstwa Leśnictwa o jedną dobę w stosunku do rozporządzenia o czasach ochronnych z marca 1950 r.

Z chwilą zakończenia polowań zajęczych wzrasta nasilenie polowań na grubą zwierzynę. Przy ponowie polujemy na otropione dziki, pamiętając, że zawsze lepiej jest wziąć parę miotów z pewnymi, ośledzonymi dokładnie dzikami, niż brać kilkanaście pędzeń w bezowocnym poszukiwaniu czarnego zwierza na chybił trafił.

W lutym lochy są już wysoko prośne, to też należy oszczędzać w tym okresie sztuki prowadzące stado, które są bez zawodu samurami oraz dobrze zważać przed strzałem do pojedyńczych sztuk, gdyż w lutym wysoko prośną lochę można już od biedy rozpoznać po pękatym brzuchu i pewnej nieruchliwości w ucieczce spod naganki. Od 20 lutego lepiej jest się w ogóle powstrzymać od zbiorowych polowań na dziki.

Dobre też rezultaty da w tym okresie polowanie na **lisy** z małą naganką lub poprostu dwoma pomocnikami uzbrojonymi w trąbki.

Na lisy wobec rozpoczętej z początkiem lutego cieczki dobre rezultaty dadzą polowania z psami w norach. Najodpowiedniejszą pogodą na takie polowanie będzie odwilż, kiedy mocno kapie z drzew, bądź pada mokry śnieg.

Na **wilki,** wobec rozpoczynającego się w połowie stycznia i trwającego 3 — 4 tygodnie okresu godowego, styczeń i luty stanowi najlepszy okres polowań z fladrami.

Wilka należy strzelać śrutem 4,5 do 5 mm lub kulą, nigdy loftkami.

Ostrzał selekcyjny i redukcyjny **jeleni i łań oraz sarn** (według zatwierdzonego przez Ministerstwo Leśnictwa planu odstrzału) trwa przez cały styczeń i luty. Oddając strzał do sztuki selekcyjnej, należy pamiętać, aby **nie strzelać prowadzących łań i przyszłościowych byków.**

Odstrzał selekcyjny płowego zwierza należy wykonywać w formie podchodu, podjazdu, bądź nielicznej naganki, ewentualnie marszu po ponowie w trop uciekającego jelenia.

Można też z powodzeniem zasiadać na czaty (na ambonie) na: wilka, dzika, lisa przy padlinie, bądź wydrę nad przeręblami.

Poza cieczką lisów w lutym odbywa się również parowanie tchórzy i łasic; wobec dużej ruchliwości tych małych drapieżników, można na nie zastawiać pułapki skrzynkowe.

Ponadto dużą satysfakcję da myśliwemu wytropienie kuny, która w poszukiwaniu towarzyszki, czy towarzysza życia gęsto poprzecina tropami las o ponowie.

Równolegle z uprawianiem polowania każdy użytkownik obwodu łowieckiego winien wziąć się w styczniu i lutym **poważnie do zabiegów hodowlanych.**

Bowiem zwierzyna już w początku stycznia zaczyna odczuwać głód i spada na wadze. Mróz, o ile nie przekracza 12° — 14° nie jest dla zwierzyny specjalnie szkodliwy, groźniej natomiast przedstawia się sprawa grubej pokrywy śnieżnej. Zwierzyna wobec trudności poruszania się w głębokim śniegu oraz niemożliwości dogrzebania się do runa leśnego, czy ozimin, musi być w tym okresie dokarmiana.

Zwierzynie płowej w styczniu i lutym należy zadawać karmę na śródleśnych haliznach w postaci: siana, liściarki, bulw i snopków niemłóconego owsa. Najlepiej jest zadawać siano i podobne, nie w stałych paśnikach, a porozwieszaną na krzewach, przywiązaną do pni drzewnych, bądź do specjalnych palików tak, aby zwierzyna, zjadając karmę musiała jednocześnie wędrować po lesie, czy polu, jak w czasie szukania



A

naturalnej paszy, a nie przychodziła tylko o oznaczonej godzinie, często na trąbkę, do jakby zastawionego stołu.

Bardzo dobre rezultaty daje zżynanie przeznaczonych do wyrębu drzew liściastych mniejszej wartości, jak: topole, brzozy, osiki, z których zwierzyna zje korę i pędy, pozostawiając nietkniętą strzałę drzewa. Zające również chętnie przychodzą do takich zrąbanych drzew. Zwierzyna płowa spałuje równie chętnie korę ze ściętych sosen i świerków.

Poza wymienioną wyżej paszą, można po odgarnięciu śniegu zadawać płowemu zwierzowi: kartofle, brukiew, żołędzie i przemarznięte kasztany. Karma ta winna być układana kupkami i przykrywana zgrabkami, uprzednio przygotowanej ściółki leśnej, bądź tam, gdzie są odpowiednie urządzenia, sypana do spe-

cjalnych paśników-żłobów, ewentualnie sypana z sanek na udeptanych drogach leśnych, mało uczęszczanych.

Dzikom poza kartoflami, żołędziami, czy kasztanami można również kłaść padlinę końską. Do padliny chętnie ściągają też lisy. Padlina stanowi znakomity sposób na ściągnięcie i umiejscowienie wilków.

Dla **zajęcy** najlepsze jako sztuczna karma są buraki pastewne i marchew.

Przy budkach dla **bażantów i kuropatw,** bądź na brzegu oparzelisk, gdzie zlatują się krzyżówki, należy oczyścić parę metrów kwadratowych ziemi od śniegu i wtedy dopiero sypać nad wieczorem poślad. Należy też sprawdzać, czy nie są zakładane przy budkach podsypowych sidła z białego końskiego włosia, niewidoczne zazwyczaj na śniegu.

Bardzo dobre rezultaty daje też odgarnianie ze śniegu spłachetek oziminy, na której kuropatwy mogą żerować.

Po ponowie należy tropić wnykarzy i sidlarzy, którzy na ścieżkach zajęczych zakładają pętle. Niepowodzeniem nie należy się peszyć, gdyż czatując na wnykarza przy pętlach przez kilka dni z rzędu na pewno go wkońcu złapiemy na gorącym uczynku.

Zajęcze parkoty rozpoczynają się na zachodnich ziemiach w połowie stycznia, a w pozostałej części Kraju w ostatnich dniach stycznia. To też koniec stycznia i początek lutego są najlepszym okresem na wypuszczanie do łowisk dostarczanych przez Polski Związek Łowiecki, bądź Spółdzielnię „Jedność Łowiecka", zajęcy dla odświeżenia krwi, czy zasilenia łowiska.

Rogacze w końcu stycznia mają już wykształcone, ale jeszcze w scypule parostki. Jelenie w końcu lutego zaczynają zrzucać wieńce, stając się gomółami.

Stowarzyszenia (Kółka) myśliwskie winny odbyć w styczniu swe **Walne Zgromadzenia** dla zakończenia rocznej gospodarki budżetowej i złożenia sprawozdań z działalności Łowczemu Powiatowemu.

Kto z myśliwych, członków Polskiego Związku Łowieckiego nie uregulował jeszcze składki za 1951 r. w kwocie 60 zł oraz równowartości zająca w kwocie 18 zł na odbudowę siedziby Domu Łowieckiego, winien te sumy niezwłocznie wpłacić na rachunek właściwej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej. Koledzy myśliwi, którzy spóźnią się z opłatą składki w br. **nie otrzymają „Łowca Polskiego",** gdyż Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch", które przejęło ekspedycję naszego organu związkowego, zaległych numerów pisma wysyłać bezwzględnie nie będzie.

W lutym odbywają się **Walne Zgromadzenia Powiatowe Polskiego** Związku Łowieckiego, w których wszyscy myśliwi winni wziąć udział

XL



Zając rys. J. Korolkiewicz

Uratowanie dwóch jeleni

W dniu 20 kwietnia ub. r. na polach wsi Dzbów w powiecie częstochowskim został złapany młody dwuletni jeleń. Bykiem tym zaopiekował się kol. Pawłowski Jan, prezes T-wa Prawidłowego Łowiectwa w Ostrowach, który zabrał jelenia do siebie i wyleczył go z odniesionych ran, zawiadamiając jednocześnie o wypadku łowczego na powiat Częstochowa oraz Wojewódzką Radę Łowiecką w Radomiu.

Po otrzymaniu wiadomości Wojewódzka Rada Łowiecka wysłała auto, które przewiozło jelenia w specjalnie zbudowanej klatce do Radomia. Byk czuł się zupełnie dobrze i został zaraz odesłany do Puszczy Kozienickiej, gdzie wypuszczono go na wolność.

Piękny przykład uratowania cennego okazu zwierzyny łownej, rzadkiej już na terenie Kielecczyzny przez kol. prezesa Pawłowskiego, winien posłużyć na wzór zarządom wszystkich kółek myśliwskich w Polsce.

*

W dniu 24 września został złapany przez mieszkańców wsi Zagórze pow. Jędrzejów jeleń byk w wieku 3—4 lata (ósmak). Miejscowy Łowczy Powiatowy udał się natychmiast na miejsce celem zabezpieczenia złapanego jelenia. W toku dochodzenia okazało się, że byk ten goniony przez psy i okoliczną ludność był tak już wyczerpany, że bez oporu dał się zaprowadzić do stodoły i dzięki opiece właściciela zagrody ob. Poświata Romana odzyskał siły, tak, że w dniu 26 września mógł już być przewieziony samochodem do lasów N-ctwa Jędrzejów, które są ostoją jeleni i wypuszczony tam na wolność.

W opiece nad jeleniem dużą pomoc okazał kolega Bertman Władysław, Podłowczy PZŁ, któremu należą się za to szczere słowa uznania.

O mały figiel...

BYŁBYM już nie napisał tego felietonu. O mały figiel — a byłbym go nie mógł napisać. Ani tego, ani żadnego innego. Skończyłyby się kłopoty z Albinem. Raz na zawsze byłby spokój.

A było tak. Zaproszono mnie na duże polowanie z naganką. Pamiętają jakoś o mnie ludziska. Na stacji czekały furki i bryczki, bo mieliśmy do wyznaczonego miejsca opętany kawał drogi. Wyłazimy z pociągu, witamy się kordialnie, bo to, panie dzieju, z tym i owym kopę lat się nie widziało! Ledwom odsapnął po uściskach kochanego naszego łowczego Łosiochrapy, kiedy raptem jakaś nowa figura, obwieszona rynsztunkiem jak czerkies, rzuca mi się w ramiona. Patrzę — Albin! no, z tym to nie tak dawnośmy się rozstali, ale ucieszyłem się, bo lubię tego draba mimo wszystko i wiadomo — kto się czubi, ten się lubi. Inna sprawa, że znam go zbyt dobrze, żebym miał pałać przesadną żądzą wylosowania stanowiska obok niego. Ale cóż? Los jest ślepy, a raczej — wie co robi. Los mi wypadł właśnie obok Albina. I cóż powiecie? W pierwszym miocie nie spodziewaliśmy się niczego lepszego, więc strzelało się do tego, co było. Do szaraków. Z zagajników, graniczących bezpośrednio z polami, sypało się tego sporo. Patrzę i ja: kica wprost na mnie jeden. Jużem się złożył. A tu! Jak nie huknie mi wprost koło ucha, aż mi w głowie zadzwoniło. Śruciny świsnęły mi koło nosa i urwały mi jeden z moich pięknych wąsów. Zając machnął koziołka, zaś Albin zaśmiał się tryumfalnie.

— Albinie! — krzyknąłem gniewnie — mniejsza już o zająca, którego sprzątnąłeś mi wprost sprzed nosa. Ale to chyba mnie chciałeś zastrzelić — nie zająca?

— Bądź spokojny. Jeżeli stoisz koło mnie, to nie ma obawy. Jeżeli strzelam zająca trafiam zawsze w zająca — dodał chełpliwie.

— Ale mój wąs... tym razem trafiłeś również w mój wąs... zawołałem żałośnie.

— To tylko dlatego, że rozrzut — machnął Albin niefrasobliwie ręką — a zresztą, po co ci wąsy? straszysz tylko kobiety.

— Hm! Może. A co by było, gdybyś trafił na przykład w oko?

— Ale nie trafiłem!

Musiałem dać za wygraną, zwłaszcza, że rozległa się trąbka.

W następnym miocie na szczęście straciłem Albina z oczu. Przy pomocy kordelasa dokonałem amputacji mojego drugiego wąsa. Tak, dla symetrii. Stwierdziłem w lusterku, że dzięki temu moje oblicze stało się bardziej moderne i to mnie pocieszyło. Ponieważ i rozkład był nie zły, powrót odbywał się w przyjemnym nastroju.

Kiedy zgromadzeni przy furmankach gwarzyliśmy wesoło, zauważyłem że kolega Grubasiński podskoczył jakoś niespokojnie. Następnie łypiąc oczami pobiegł na swoich krótkich nogach w bok i znów podskoczył, jakby mu kto wrzucił rozpalony węgiel za kołnierz. Znając flegmatyczne usposobienie Grubasińskiego byłem trochę zdziwiony tą jego ruchliwością. Zagadka wkrótce się wyjaśniła.

— Mógłbyś pan — wrzasnął czerwony jak burak Grubasiński — trzymać jakoś inaczej tę swoją flintę i nie celować ciągle w mój brzuch.

Wszystkie oczy skierowały się na Albina, który nieco skonfundowany odwrócił wycelowaną wprost w pokaźny brzuch Grubasińskiego lufę i skierował ją w imponujący nos Łosiochrapy.

— Cóż do diabła — huknął Łosiochrapa — więc to teraz ja mam być ofiarą?!

— Wszyscy jesteście myśliwi — obraził się Albin — a boicie się broni, w dodatku nie nabitej.

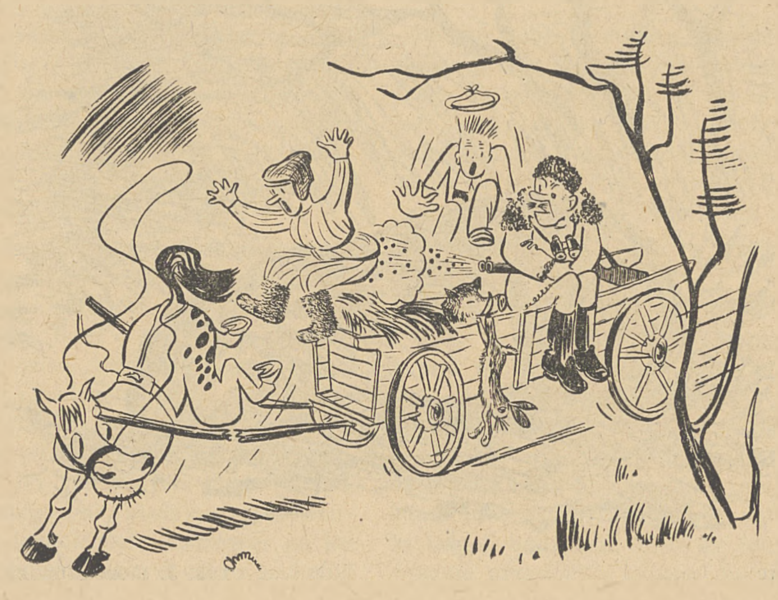
— Najwięcej wypadków bywa z bronią nie nabitą — bąknąłem nieśmiało.

Albin łypnął na mnie złym okiem. Wsiedliśmy do furmanek.

Siedziałem na przednim siedzeniu obok woźnicy. Z tyłu Albin i ktoś tam jeszcze. Kilka razy, kiedy koła podskakiwały na wybojach, coś potężnie trącało mnie w żebra. Była to lufa Albinowej strzelby. Nic już nie mówiłem, bo dość miałem tych kłótni z Albinem.

Nagle... wóz podskoczył na grubym korzeniu. Rozległ się ogłuszający huk i błysk. Ja i woźnica odskoczyliśmy od siebie, jak Tadeusz od Telimeny. Twarz miałem osmaloną. Z pobliskiego drzewa posypały się liście. To wypaliła nie nabita dubeltówka Albina. Mały figiel, a — byłby świetny temat do żałobnego felietonu. Tylko, ktoby go napisał. Ładny byłby figiel.

ROŻENEK



Koło »Knieja« w Rogozińcu

Aby rozwinąć i wznieść na odpowiednie wyżyny łowiectwo polskie, potrzeba nam licznych i dobrych myśliwych-hodowców. Tę przyszłość stanowią Koła Łowieckie przy szkołach leśnych wszelkiego typu, które należy otoczyć opieką. Młodzi umieją i potrafią pracować, ale potrzebna im jest pomoc.

Przykładem niech będzie Koło Łowieckie „Knieja“ przy P. Liceum Leśnym w Rogozińcu. Jasne i treściwe wykłady łowieckie prof. Olszewskiego umiały porwać i zapalić umysły młodzieży szkolnej. W wyniku pod koniec listopada ubiegłego roku powstała obecna „Knieja“, licząca przeszło 100 członków.

Początki były ciężkie. Terenu łowieckiego nie dzierżawiliśmy żadnego, na polowania z kilkoma zaledwie strzelbami chodziliśmy na rzadko zaofiarowane zaproszenia sąsiednich Nadleśnictw Trzciela i Brujec.

Sprawy budżetowe przedstawiały się bardzo skromnie — jedyny dochód to składki członkowskie. Ale dzięki energii i poświęceniu Zarządu Koła, a przede wszystkm kol. przewodniczącego Krzesaka, dziś wygląda ta sprawa zupełnie inaczej, pierzchły w zapomnienie większe trudności.

Obecnie Koło posiada teren wydzierżawiony o pow. 4743 ha; na jego obszarze i w pobliżu zlikwidowano całkowicie kłusownictwo. Stosowanie się do zarządzeń i etyki łowieckiej, współzawodnictwo w niszczeniu drapieżników, spowodowały duży przyrost pogłowia wśród tut. zwierzostanu, tak, iż ostatnie polowanie przyniosło duże zyski. Zabito ogółem 134 zające, które dostawiono „Jedności Łowieckiej“ w Gorzowie Wlkp. Koło współpracuje z innymi organizacjami na terenie szkoły, jak ZMP, PZPR i in.

Dużą bolączką koła „Knieja“ jest brak posiadania wyrzutni, a robione w tym kierunku starania są bezowocne. Instytucje posiadające ten nieoceniony dla nas skarb, pozostają zimne i głuche na nasze kołatania. Nam młodym potrzebna jest pomoc, nie można tak po macoszemu traktować te sprawy.

Doceniając i rozumiejąc znaczenie gospodarki łowieckiej *wzywamy* wszystkie szkoły leśne na terenie całego kraju do współzawodnictwa w pracy nad podniesieniem gospodarki łowieckiej. *Apelujemy* do wszystkich szkolnych Kolegów myśliwych o zakładanie Kół łowieckich przy swych uczelniach, o współpracę z terenowym Związkiem Łowieckim. Prosimy o korespondencję i dzielenie się spostrzeżeniami i osiągnięciami z nami. Wzajemnym terenem wymiany niech zostanie nasze wspólne pismo „ŁOWIEC POLSKI“.

J. Majcher
(Korespond. „Kniei“ przy PLL Rogoziniec)

MYŚLIWI piszą

DO KOLEGÓW MYŚLIWYCH, CZŁONKÓW PZŁ I CZYTELNIKÓW „ŁOWCA POLSKIEGO“

Redakcja „Łowca Polskiego“ zwraca się do wszystkich Kolegów myśliwych, członków PZŁ z apelem o nadsyłanie korespondencji z terenu.

Piszcie o wszystkich sprawach związanych z łowiectwem.

Piszcie o dokonanych spostrzeżeniach w zakresie hodowli zwierzyny, dostrzeżonych epidemiach, o organizacji łowiectwa w terenie, naruszaniu etyki łowieckiej; piszcie o doświadczeniach, błędach, faktach szkodnictwa, jak również o dokonanych osiągnięciach; piszcie o tym, co się dzieje na waszym terenie.

„Łowiec Polski“ — jest Waszym pismem. Zapełniajcie jego łamy materiałem faktycznym, czerpanym z życia, z codziennych Waszych doświadczeń. Piszcie to co widzicie, tak jak czujecie.

Bądźcie korespondentami terenowymi „Łowca Polskiego“. Korespondencje nadsyłane stale będą honorowane.

Tylko wspólnym wysiłkiem unikniemy błędów, wykryjemy niedbalstwo, zlikwidujemy szkodnictwo i podniesiemy znaczenie naszej gospodarki łowieckiej i naszej organizacji.

Czekamy na Wasze listy.

REDAKCJA

Na marginesie jednego polowania

W bieżącym sezonie pojechałem na dwudniowe polowanie na zające, wchodzące do planu polowań jednego z poważniejszych towarzystw, posiadającego długoletnie chlubne tradycje hodowlane, organizacyjne oraz pielęgnowania wysokiej klasy etyki myśliwskiej.

Pojechałem odetchnąć lasem i polem, korzystając z suchszej pogody obecnej płaczliwej jesieni. Pojechałem poznać kolegów, pogwarzyć z nimi, a z nielicznymi dawniej znajomymi podzielić się radością z odradzającego się liczebnie pogłowia zwierzyny łownej, tak bardzo przez wojnę i wskutek braku opieki zdewastowanej.

A tymczasem... Wróciłem w bardzo przygnębionym nastroju. Starych, wytrawnych i wysokiej klasy myśliwych spotkałem zaledwie kilku, a i wśród nich zauważyłem dziwną zmianę — jakąś obojętność i bierność w stosunku do tego, co się dokoła nich dzieje.

Cóż mam tym myśliwym do zarzucenia — a głównie zarządowi towarzystwa, który daje firmę, etykietę wszelkich poczynań, formy organizacyjne polowanie itd.?

W moim pojęciu grzechy rażące:

1. Niechęć, wstręt prawie do stosowania pędzeń polnych. Kotły — nadewszystko. Nawet po błocie.

2. Stosowanie zbyt małej liczby naganki (na 16 strzelb — 19 naganiaczy), co powoduje z jednej strony zmniejszenie szans wyrwania się zająca z kotła bez strzału, z drugiej — ułatwia „rozsuwanie się“ w celu tworzenia większych luk obok strzelca uprawiającego ten „system“, aby ściągać zające na strzał dla siebie kosztem innych myśliwych, którzy tej „metody“ nie stosują.

3. Strzelanie na zbyt dalekie odległości, co powoduje wiele postrzałków, a więc dłuższe ich cierpienia zanim padną od strzałów in-

nych myśliwych albo wpadną w ręce czyhających pozą linią kotła całych gromad kłusowników bez broni, lecz z psami.

4. Spory i pretensje przy sięganiu po tzw. wspólne zające.

5. Wybieganie myśliwych przed naganiaczy, w środek kotła, „na spotkanie“ zwierzynie.

6. Znaczenie ubitych zajęcy przez obcinanie słuchów, osmyka, przewiązywanie skoków przygotowanymi w kieszeni kolorowymi sznurkami itp.

7. Ogólny brak serdecznej nuty koleżeńskiej i dominująca zachłanność, chytrość oraz nieliczenie się z obowiązkiem przyzwoitego zachowania się myśliwego.

8. Niedbała organizacja polowania (brak planu, niezapowiadanie kierunku zbiórki, gubienie się myśliwych nie znających lasu i planu polowania, zbyteczny pośpiech, a nade wszystko zaniechanie przypomnienia myśliwym przed polowaniem regulaminu i obowiązujących przepisów).

Wróciłem do domu z dużą dozą niesmaku i zastanawiam się nad tym, czy jeździć tam dalej dla odpoczynku po pracy w mieście, dla poddawania się nastrojom niesionym przez powiewy wiatru i zapach sosnowych igieł, albo przez delikatny poszum spadających na ziemię listków. Czy jeździć tam dalej, by zatracać się w białej poświacie spadłego zimą śniegu?

Jeżeli ktoś zechce mi tłumaczyć rażące zachowywanie się myśliwych ich dążeniem do zredukowania ciężko przychodzących wydatków związanych z polowaniem, co miałoby usprawiedliwiać pogoń za złotówkami pod postacią ubitej zwierzyny bez właściwego doboru środków, to mu odpowiem: — Lepiej niech rzadziej jeździ na polowania, w ten sposób redukując zasadniczo swe wydatki na przyjemność polowania.

Niech bowiem nie zapomina, że kultura obowiązuje wszędzie i zawsze. Boć zachowanie wszelkich wskazań etyki myśliwskiej nie jest niczym innym, jak sprawdzianem stopnia posiadania przez daną jednostkę kultury.

Apeluję gorąco do wszystkich myśliwych, aby zastanowili się nad tym zagadnieniem poważnie, aby zastosowali pełną samokrytykę i wyzbyli się obłudnych usprawiedliwień wybitnie niemyśliwskiego postępowania.

Wuzet.

Etyka łowiecka a nieporozumienia myśliwskie na polowaniu

Sport myśliwski posiada w sobie dużą siłę atrakcyjną. Źródłem jej z jednej strony jest drzemiący w nas myśliwych atawizm z czasów, kiedy ubita zwierzyna i jej futra zaspokajały najprymitywniejsze potrzeby prymitywnego człowieka, z drugiej strony — umiłowanie przyrody i jej niewyczerpanych bogactw i piękna.

Trudno sobie wyobrazić myśliwego, który obok pasji myśliwskiej nie byłby miłośnikiem przyrody

Poza tym polowanie daje wartościowe odprężenie nerwowe po pracy i troskach codziennego życia.

Bardzo ważnym czynnikiem jest również atmosfera wzajemnej życzliwości i uprzejmości myśliwych i ona to przeważnie decyduje o pogodnym i beztroskim nastroju w czasie polowania i decyduje o miłym lub niemiłym wrażeniu, z jakim myśliwy powraca z polowania, niezależnie od ilości upolowanej zwierzyny.

Etyka myśliwska i jej kodeks stoją na straży dobrych obyczajów myśliwskich, a przestrzeganie tego kodeksu w dużej mierze zapobiega nieporozumieniom wśród myśliwych. Są jednak sytuacje podczas polowania, w których stosowanie etyki łowieckiej napotyka na duże trudności. Najczęstszą przyczyną nieporozumień wśród myśliwych jest spór o zająca. Temat ten poruszony został w jednym z numerów „Łowca Polskiego“. Autor tego artykułu w wypadku, gdy dwóch myśliwych strzela do tego samego zająca jednocześnie, podaje sposoby ustalenia, którego z myśliwych strzał uznać należy za śmiertelny i ten moment przesądza, do kogo zając ma należeć.

Ja w artykule niniejszym mam zamiar poruszyć inną sprawę, a mianowicie sprawę dostrzelenia ciężko rannego zająca. Powszechnie przyjęto, że w tym wypadku myśliwy za dostrzelenie zająca otrzymuje zwrot ładunku, zając zaś pozostaje własnością tego myśliwego, który ciężko zranił zająca. Panuje jednak w niektórych kołach łowieckich zgubne twierdzenie: „zając tego, czyj ostatni śrut“.

Zgubne powtarzam dlatego, że stosowane bezkrytycznie sprzeczne jest z pojęciem sprawiedliwości i otwiera śliską drogę do niesmacznych scysji pomiędzy myśliwymi.

Ustalenie, czy ostatni strzał wypłynął z uczuć humanitarnych, skrócenia cierpień rannego zwierzęcia, uczuć obowiązujących w myśl etyki łowieckiej każdego myśliwego, czy zaś był podyktowany rozumowaniem, że w przeciwnym wypadku zając byłby stracony, zależne jest całkowicie od sumienia myśliwego.

I właśnie o to mi chodzi, by chęć posiadania zająca nie zaciemniała bezstronnego krytycyzmu myśliwego.

Chociaż łowiectwo utraciło w dobie obecnej swój dotychczasowy czysto sportowy charakter i eksport zwierzyny stał się jedną z gałęzi handlu, zdaniem moim, my myśliwi musimy dbać i troszczyć się o to, aby nie zatraciło ono swego szlachetnego charakteru i nie stoczyło się do poziomu „zwierzobójstwa“.

Junosza

WALKA ZAJĘCY

Posyłam opis ciekawy widowiska z życia zajęcy.

Odprowadzając leśniczego N. do domu dnia 27.IX.1950, godz. 17.35 wyszliśmy z zalesionego potoku, leżącego wśród pól, na czyste orne pole i stanęliśmy zdumieni, gdyż naszym oczom przedstawił się niecodzienny widok.

Na 30 kroków od nas zobaczyliśmy dwa dobrze wyrośnięte zające, stojące na dwóch tylnych skokach i walczące jak bokserzy na ringu. Uderzenia skokami przednimi były silne, tak że łoskot uderzeń słyszeliśmy b. dokładnie, a czasami tak szybkie, jak odgłosy kijanek w ręku praczek przy potokach lub rzeczkach. Walka ta trwała około 5 minut, następnie zające te odskoczyły od siebie parę kroków, ale po to, aby zacząć walkę na nowo.. Walczyły 3 minuty, po czym rozbiegły się, kładąc się na roli.

Zające walczyły nie zwracając uwagi na nas, pomimo, że staliśmy na otwartym polu i że wiatr mieliśmy pomyślny.

M. Bilanów, pow. rzeszowski

KUNY

Syn gajowego, uczeń 2 kl. szkoły podstawowej opisuje znalezienie i wyhodowanie pary młodych kun leśnych (tumaków).

20 czerwca 1950 r. szedłem z bratem i z siostrą do Lipowca i napotkaliśmy siedzące pod drzewem dwie małe kuny. Idące dzieci przed nami mówili, że to dzikie koty. drudzy mówili, że to dziki i chcieli je zabić. Ja, ponieważ widziałem w domu kunę, którą złapał tatuś, więc odrazu poznałem, że to są małe kuny i wsadziłem je za koszulę i przyniosłem do domu. Dałem im mleka i jajka i potem już wzięły się same do jedzenia. Później już wszystko jadły, ja je sam wychowałem. Mogłem je wypuścić na drzewo i przynieść je z powrotem do domu. Jadły wszystko co zobaczyły, a spotykane kurczątka to udusiły. Od tej pory chowałem je do 25 października; sprzedałem je do Warszawy do Ogrodu Zoologicznego. Jedna kuna samica nazywa się Małgosia, a druga kuna samiec, nazywa się Jaś.

Purzycki

„W SPRAWIE TROPOWCÓW"

Nawiązując do artykułu pod tym tytułem, zamieszczonego w N-rze 9 (982) „Łowca Polskiego", pragnę dorzucić kilka słów, które oby nie pozostały bez należytego oddźwięku ze strony Związku Kynologicznego, jak też i kolegów myśliwych.

Zgadzam się całkowicie z sugestiami autora artykułu co do sprawy hodowli psów tej rasy, jak również i projektu utworzenia sieci obsługującej w razie potrzeby tereny, będące w możliwym zasięgu danego ośrodka hodowlanego.

Sami stosujemy ten sposób bardzo często, gdyż na terenie dzierżawionym przez nasze Koło Łowieckie znajduje się doskonały tropowiec rasy hannowerskiej. Suka ta posiada naprawdę wspaniałe zalety, ale nasze starania o znalezienie reproduktora tej samej rasy, mimo licznych poszukiwań, nie dały rezultatu. Właściciel tego psa jest specjalistą — trenerem właśnie tropowców, gdyż przeszedł odpowiednie przeszkolenie w Niemczech, a dotychczasowe moje obserwacje potwierdzają wysoki stopień jego kwalifikacji w tym kierunku. Jego marzeniem byłoby, aby przy pomocy odpowiedniej instytucji, założyć właśnie ośrodek hodowlano - szkoleniowy psów tej rasy, oraz stworzyć stację obsługi terenów obfitujących w grubą zwierzynę. Jest on jednak już zniechęcony niepowodzeniami w poszukiwaniu za odpowiednim reproduktorem, zresztą brak czasu nie pozwala mu na dalekie wyjazdy, a jego pisemne zapytania skierowane swego czasu do osób prywatnych, a także do „Łowca Polskiego" pozostały bez odpowiedzi. Sądzę, że sprawą tą winien się zainteresować Polski Związek Łowiecki i przyczynić się do zrealizowania tego projektu, co z pewnością zmniejszy do minimum utratę zwierzyny, której tyle z braku odpowiednich psów przepada bezpowrotnie. Projekt ten jest bardzo łatwym do rozwiązania, gdyż w pobliżu miejsca zamieszkania właściciela wspomnianego psa znajdują się budynki, które po odpowiednim przystosowaniu mogłyby znakomicie służyć do celów ośrodka hodowlanego. Treser jest na miejscu, a muszę zaznaczyć, że jest to zamiłowany treser i hodowca psów, a do dnia dzisiejszego wiele osób prywatnych oddaje mu swe psy do ułożenia. Pozostałaby tylko kwestia sprowadzenia reproduktora, co przy możliwościach Polskiego Związku Łowieckiego wydaje mi się rzeczą stosunkowo łatwą do przeprowadzenia.

Ufam, że artykuł kol. A. S. nie pozostanie bez echa i wywoła na prawdę szczere zainteresowanie szerokiej rzeszy myśliwych, a także odpowiednie kroki ze strony P. Z. Ł., jak też i ze strony Związku Kynologicznego.

Józef Duda.

Od Redakcji. Apel kol. J. Dudy jest słuszny i należy hodowcy cennej suki pomóc, gdyż leży to w interesie naszego racjonalnego łowiectwa; zwłaszcza, że zanim zdołamy psy takie sprowadzić do kraju — upłynie sporo czasu.

Dlatego prosimy wszystkich kolegów myśliwych, którzy wiedzą o posiadaniu przez kogokolwiek tropowca hannowerskiego — o powiadomienie kartą pocztową Redakcji „Łowiec Polski".

Nieznany drapieżnik

W nrze 3 Łowca Polskiego w artykule pod tytułem „Gniazdo sokoła wędrownego", kol. Eustachy Dzieduszycki opisuje malowniczą wyspę na jeziorze Mamry, na której znajdowała się siedziba tego rzadkiego już u nas ptaka. Gniazdo zostało w rezultacie zniszczone przez jakiegoś szkodnika i autor posądza o to kunę leśną, ale wyraża również przypuszczenie, że mógł to być i inny drapieżnik.

Na podstawie dokonanego opisu zrabowanego gniazda, podanego w artykule przez kol. Dzieduszyckiego, doszedłem do przekonania, że tym nieznanym drapieżnikiem nie była kuna leśna, która swym nieznacznym ciężarem nie potrafiłaby przechylić całkowicie kolebki so-



Na zdobyczy...

kołów. Pożarcie piskląt jest niewątpliwie sprawką innego, rzadszego i ciekawszego zarazem rabusia. Przytoczę podobny wypadek z lat przedwojennych.

W roku zdaje się 1936 na terenie Puszczy Rudnickiej znajdowało się 12 gniazd czarnych bocianów. Piękne te ptaki od szeregu lat lęgły się normalnie, to też nikt z nas nie przypuszczał, że wymieniony rok stanie się dla nich okresem tragedii rodzicielskiej. Tyczasem z chwilą gdy wylęgły się pisklęta, było gniazdo po gnieździe systematycznie dewastowane przez nieznanego sprawcę, tak, że zachodziła obawa, iż w 12 gniazdach nie ocaleje ani jeden młody czarny bocian.

Zagadka ta przez długi czas nie mogła znaleźć rozwiązania, pomimo że straż leśna czyniła wszystko, aby wykryć tego tajemniczego mordercę młodych bocianów. Przypuszczano, że ryś zawędrował do puszczy i on jest sprawcą tego mordu, choć na żadne inne ślady pobytu tego drapieżnika nie można było natrafić.

Po długich obserwacjach, na skutek specjalnego zainteresowania się tą sprawą jednego z gajowych, nieznany drapieżnik został uchwycony na porącym uczynku. Okazało się, że pożeraczem bocianów był wspaniały orzeł bielik, który od niedawna sprowadził się do puszczy i zaczął uprawiać swe krwawe rzemiosło.

Wracając do opisu kol. Dzieduszyckiego jestem przekonany, że młode sokoły wędrowne padły także ofiarą tego orła. Przemawia za tym zarówno siedlisko sokołów na wyspie oblanej zewsząd taflą wody, a więc okolica wymarzona do łowów bielika, jak też i fakt całkowitego przechylenia gniazda na drzewie, świadczący o znacznym ciężarze drapieżcy, czego lekka kuna nie byłaby w stanie dokonać.

Młode orły bieliki nie gnieżdżą się w pierwszym roku życia, a wałęsają się po kraju i jest rzeczą bardzo możliwą, że taki wędrowiec napotkał po drodze gniazdo sokoła, toteż obecność jego na jeziorze Mamry mogła być nawet nie zauważona, o ile nie bawił tam przez dłuższy okres czasu.

W końcu maja br. został na przykład złapany przez rybaka w gminie Lelów, pow. Włoszczowa, woj. kieleckie, młody orzeł bielik (tak przynajmniej sądzę z opisu), którego odebrała milicja i przesłała do Ogrodu Zoologicznego w Krakowie. O orłach w tych okolicach od dawna już nikt nie słyszał i ujęty okaz musiał przywędrować z innych odległych dzielnic kraju.

Niejednokrotnie spotykałem takie wałęsające się bieliki w okolicach, które nie były nigdy ich siedliskiem. Po kilku lub w najlepszym wypadku kilkunastu dniach wędrowcy opuszczali te strony bezpowrotnie.

Jezioro Mamry jest niewątpliwie terenem, na którym bieliki lubią się zatrzymywać, toteż zniszczenie gniazda sokołów przez tego orła uważam za bardzo prawdopodobne.

Leopold Pac - Pomarnacki

Uwaga redakcji: przypominamy, że orzeł bielik, narówni z wszystkimi orłami, jest pod ochroną i strzelany być nie może.

ODPRAWA ŁOWCZYCH POWIATOWYCH i PREZESÓW STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH Z TER. WOJ. LUBELSKIEGO

Dnia 15/X.50 r. w sali wykładowej Wydz. Rolnego U. M. C. S. w Lublinie, odbyła się odprawa Łowczych Powiatowych i Prezesów Stowarzyszeń Łowieckich z terenu woj lubelskiego. Przed rozpoczęciem obrad nastąpiła dekoracja osób zasłużonych na niwie łowieckiej Medalami Zasługi Łowieckiej. Ogółem udekorowano 15 osób, w tym jedna osoba Złotym Medalem, 5 srebrnymi i 9 brązowymi. Aktu dekoracji dokonał Prezes Lubelskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, prof. dr. Stefan Lewicki. Następnie przystąpiono do obrad, na które złożyły się sprawy: organizacyjne, finansowe, łowieckie, budowa strzelnic, hodowla zwierzyny łownej itp. Zainteresowanie obradami, jak też i sprawami łowieckimi było duże, o czym świadczyła frekwencja przybyłych na odprawę osób oraz ożywiona dyskusja nad poszczególnymi zagadnieniami.

25-LECIE LUBELSKIEGO TOWARZYSTWA MYŚLIWSKIEGO

Jedno z najstarszych na terenie Lublina towarzystw łowieckich, Lubelskie Towarzystwo Myśliwskie, obchodziło dnia 22/X.50 r. 25-lecie swojego istnienia. Uroczystość ta zgromadziła około 40 osób członków czynnych T-wa, w tym kilku założycieli. Prezes T-wa i jeden z jego założycieli kol. Leon Radliński powitał w serdecznych słowach przybyłych na uroczystość kolegów, po czym przedstawił w krótkich zarysach historię T-wa oraz jego wkład i zasługi dla dobra łowiectwa. Następnie nastąpiła dekoracja znaczkiem jubileuszowym członków T-wa i założycieli oraz wspólna fotografia.



Grupa członków Lubelskiego Tow. Myśliwskiego

Z Łódzkiej Rady Wojewódzkiej

Łódzka Wojewódzka Rada Łowiecka wyróżnia się w ostatnich czasach wzmożoną działalnością.

Podajemy poniżej kilka zarządzeń, których naśladowanie przez inne Rady byłoby ze wszech miar wskazane.

A. Organizacja instytucji Opiekunów Rad Powiatowych

Rada Wojewódzka wyznacza na każdy powiat Opiekuna Rady Powiatowej, którego zadaniem będzie:

1) Sprawdzanie w terenie, czy rady powiatowe i ich organa w sposób właściwy realizują zadania stawiane przez władze naczelne P.Z.Ł.?

2) Czy przestrzegają obowiązujące ustawy, czy i w jaki sposób realizują uchwały, polecenia i zarządzenia Wojewódzkiej Rady Łowieckiej?

3) Czy sprawnie organizują pracę tak w biurze Rady, jak i w terenie w powiązaniu z podłowczymi i Kółkami Myśliwskimi?

Dla wykonania zadania Opiekun winien być obecny:

1) na walnym zebraniu, dla wygłoszenia referatu politycznego i podsumowania dyskusji,

2) na każdorazowym posiedzeniu Rady — w terminach wg ustalonego kalendarza,

3) od czasu do czasu kontrolować urządzane polowania (co najmniej jedno leśne i jedno polne),

4) dwa razy do roku przeprowadzić generalną kontrolę i złożyć Radzie Wojewódzkiej sprawozdanie wg następującego schematu:

II. Wzór sprawozdania

Z przeprowadzonej kontroli biura oraz działalności gospodarczo-społecznej, Powiatowej Rady Łowieckiej w . . . .
przez opiekuna . . . .
w dniu . . . . 195 . . r.

1) Działalność polityczno-społeczna. Tu należy omówić:

Analizę składu Rady z uwzględnieniem przynależności politycznej i socjalnej członka, udział ich w wystąpieniach i obchodach o charakterze społeczno-państwowym, współpraca z Radami Narodowymi, Związkami Zawodowymi, Urzędem Bezpieczeństwa, agendami Ministerstwa Leśnictwa i z nauczycielstwem.

2) Stan organizacyjny

Lokal, urządzenia biura, telefon, czynsz, wpływ korespondencji, podział rzeczowy akt i przechowanie, terminowość w załatwianiu, obsługa interesantów, plan pracy i sprawozdawczość, kontrola wykonania uchwał, protokółu posiedzeń, ilość kółek łowieckich, ilość członków itp.

3) Gospodarka finansowa

Stan majątkowy, inwentarz, zobowiązania i wierzytelności, budżet i jego wykonanie, celowość i oszczędność, ewidencja członków i pobór składek, kartoteka, rachunkowość, dokumenty kasowe oraz sprawozdania finansowo-gospodarcze.

4) Akcja hodowlana oraz zwalczanie kłusownictwa

Planowość akcji i środki materialne Rady oraz poszczególnych Kółek Łowieckich, dokarmianie i zasiedlanie, rezerwaty, kłusownictwo ilość ukaranych, ilość odebranej zwierzyny i odstrzelonych drapieżników, statystyka.

5) Akcja propagandowo - wychowawcza

Szkolenie zawodowe i egzaminy, odczyty i pogadanki, wystawy trofeów i plakaty, strzelectwo sportowe, konkursy, bilioteka, akcja młodzieżowa.

6) Różne inne spostrzeżenia i uwagi opiekuna

W p. 6 należy ocenić obiektywnie na podstawie sprawozdania opisowego działalność Rady, omówić styl pracy, aktywność Prezydium, wykonawstwo, wskazać na ewentualne błędy w postępowaniu i bolączki, oraz podać rady i wskazówki, które by podniosły sprawność organizacyjną i gospodarczo-społeczną, przy ekonomicznym zużyciu swoich sił i możliwości.

Sprawozdania te, podpisane przez opiekuna, należy składać do Sekretariatu Prezydium Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.

B. Okólnik Łódzkiej Rady

W uznaniu wagi zagadnienia obwodów łowieckich dla celów racjonalnej hodowli oraz dla skutecznego oddziaływania na właściwy układ stosunków między Kółkami Myśliwskimi, Łódzka Rada Wojewódzka w dniu 11.XI. ub. r. powzięła następującą uchwałę:

1) ustala się jako najmniejszy obwód łowiecki, który może być eksploatowany, o powierzchni nie mniejszej jak 3.000 hektarów,

2) zleca się łowczym powiatowym powołanie specjalnych komisji, które w terminie do dnia 1 lipca 1951 roku przeprowadziły rewizję istniejących obwodów łowieckich i spowodowały ich właściwą komasację,

3) zabrania się rejestracji kółek łowieckich, które będą posiadały mniejsze obwody jak 3.000 hektarów w jednym kompleksie,

4) zabrania się wydzierżawiania lub użytkowania polowania samodzielnie przez indywidualnych myśliwych bez względu na ilość posiadanych przez nich hektarów.

Wszelkie ewentualne spory oraz trudności, jakie mogą powstać w czasie wykonywania powziętych uchwał w sprawie reorganizacji łowisk, a których nie będzie w stanie załatwić Powiatowa Rada Łowiecka, należy kierować do Komisji Arbitrażowej przy Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej.

C. Usprawnienie prac Rady Wojewódzkiej

a

Dla wciągnięcia do udziału w pracy wszystkich Członków Woj. Rady Łowieckiej — w terminie do dn. 5-go każdego miesiąca, Członkowie Rady będą nadsyłać swoje uwagi, lub wnioski odnośnie miesięcznego (normalnego) posiedzenia Rady (projekt porządku obrad, sprawy jakie zdaniem Członka Rady winny być przedmiotem obrad itp.). Wnioski te należy składać na piśmie do sekretariatu Rady Wojewódzkiej.

b

W terminie do 10-go każdego miesiąca Sekretarz Woj. Rady Łowieckiej opracuje i przedłoży Prezesowi i V-Prezesom projekt porządku obrad, który zostanie kolegialnie ustalony z podziałem spraw pomiędzy poszczególnych referentów.

c

Referenci spraw (Przewodniczący Komisji lub poszczególni Członkowie Rady) zobowiązani są w terminie do dnia 15-go opracować referat na dany temat, zakończony projektem uchwały. Po kolegialnym omówieniu i przyjęciu — porządek obrad zostaje w ten sposób ustalony i wszyscy Członkowie Rady otrzymają pisemne zawiadomienie o terminie posiedzenia Rady.

d

Jako termin posiedzeń Woj. Rady Łowieckiej ustalamy okres między 25-ym ,a ostatnim dniem każdego miesiąca.

e

Wraz z porządkiem obrad każdy z Członków Rady otrzymuje do wglądu teksty referatów, jakie mają być przedmiotem obrad. W ten sposób sprawy poszczególne nie będą na posiedzeniu Rady referowane, a każdy punkt rozpoczynany będzie dyskusją. Zabierający głos w dyskusji (mając cały materiał w dyspozycji na kilka dni przed posiedzeniem) będzie mógł ustosunkować się do poruszanego zagadnienia, zgłaszając ewentualne poprawki do projektu uchwały na piśmie.

f

Jako stały punkt na posiedzeniach wprowadzone zostają sprawy sekretariatu Woj. Rady Łowieckiej dla poinformowania Członków Rady Łowieckiej i Opiekunów o zaniedbaniach lub brakach w pracy poszczególnych Rad Powiatowych, celem umożliwienia szybkiej i skutecznej interwencji.

Obchód Hubertowski w Radomiu

Dorocznym zwyczajem Wojewódzka Rada Łowiecka w Radomiu urządziła w dniu 3 listopada r. b. Obchód Hubertowski.

Po południu, bezpośrednio po normalnym posiedzeniu Rady we własnym lokalu, zebrani udali się do Resursy Rzemieślniczej, gdzie przy udziale licznego grona gości myśliwych odbyło się uroczyste posiedzenie Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Radomiu.

V-Prezes kol. Kwitniewski w krótkim zagajeniu powitał zebranych na sali myśliwych, członków miejscowych kółek łowieckich i nawiązał do kultu i tradycji hubertowskich na terenie Kielecczyzny.

Po zagajeniu nastąpiła dekoracja zasłużonych: kol. Podhajnego Zygmunta — srebrnym medalem Zasługi Łowieckiej oraz strażników łowieckich Romanowa Michała i Wosia Bronisława — brązowymi medalami. W dalszym ciągu zebrania wręczone zostały dyplomy honorowe najlepszym strzelcom rzutkowym Kielecczyzny.

Część oficjalną zakończył referat kol. Leopolda Pac-Pomarnackiego pt. „Kilka słów o sarnie", w którym autor poza danymi biologicznymi, poruszył sprawę hodowli i racjonalnego odstrzału sarn w naszych łowiskach.

L. P.

Kalendarzyk Myśliwski

W myśl ustawy łowieckiej z dnia 3 grudnia 1927 r. i rozporządzenia Ministra Leśnictwa z dnia 27 marca 1950 r. (Dz. Ust. R. P. nr 13) — polowanie na następujące zwierzęta łowne jest dozwolone (pola białe), względnie wzbronione (pola czarne):

RODZAJ ZWIERZYNY	styczeń	luty	marzec
1. Dziki			■
2. Kuny leśne (tumaki)			
3. Wydry			■
4. Lisy			■
5. Wiewiórki		■	■
6. Zające szaraki	20■	■	■
7. Króliki	czasu ochronnego nie mają		
8. Głuszce koguty	■	■	■16
9. Cietrzewie koguty	■	■	■16
10. Słonki	■	■	
11. Bataliony			
12. Dzikie kaczory w woj. gdańskim, olsztyńskim i szczecińskim			
Dzikie kaczki w pozostałych województwach	■	■	
13. Dzikie gęsi w województwach: gdańskim, olsztyńskim, wrocławskim i szczecińskim	■	■	■
Dzikie gęsi w pozostałych województwach			
14. Łyski			
15. Kwiczoły i paszkoty		■	■
16. Błotniaki zbożowe i stawowe			
17. Gawrony, kawki, kruki, orły rybołowy i ptaki drapieżne z wyjątkiem gołębiarzy, krogulców, wron i srok			■
25. Wilki, kuny kamionki, tchórze, gronostaje, łasice, jastrzębie gołębiarze i krogulce, wrony i sroki	czasu ochronnego nie mają		



Dziczka oswojona i jej przyjaciel pointer „Ram"
wł. inż. Kula z Wrocławia

Sprostowanie

W Nr 10 (983) „Łowca Polskiego" na str. 1 pod rysunkiem projektowanego Domu Łowieckiego winno być: rys. *inż. Opoczyński*, a nie S. Rozwadowski — jak mylnie podano.

W Nr 10-ym „Łowca Polskiego" na str. 31 w artykule „Zawody w strzelaniu do rzutków" wkradły się następujące błędy korektorskie: Zamiast „Warszawskie Koło Myśliwych" powinno być „Warszawskie Koło Myśliwskie". Zamiast „GGGW" powinno być „SGGW" (skrót od Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego). Zamiast „Dziukiewicz" powinno być Dzikiewicz. W tabeli na str. 32 opuszczono dobywców 8 i 9 miejsca w zawodach o mistrzostwo okręgu Warszawskiego, którymi byli koledzy: Witold Frontczak i Alfons Wojański.

CALENDARIUM

I. Data:	7. I.	6. II.	7. III.
Fazy księżyca	nów	nów	nów
wschód „	8.04	7.36	6.10
zachód „	14.38	16.38	17.02
wschód słońca	7.44	7.11	6.11
zachód „	15.40	16.39	17.25

II. Data:	15. I.	13. II.	15. III.
Fazy księżyca	I kwadra	I kwadra	I kwadra
wschód „	10.28	9.01	8.24
zachód „	0.26	0.39	1.58
wschód słońca	7.39	6.58	5.53
zachód „	15.52	16.43	17.39

III. Data:	23. I.	21. II.	23. III.
Faza księżyca	Pełnia	Pełnia	Pełnia
wschód „	16.09	16.31	18.13
zachód „	8.03	6.47	5.27
wschód słońca	7.31	6.42	5.34
zachód „	16.05	16.59	17.52

IV. Data:	30. I.	28. II.	30. III
Fazy księżyca	II kwadra	II kwadra	II kwadra
wschód „	0.13	0.59	2 36
zachód „	9.36	8 25	9.01
wschód słońca	7.27	6.27	5.18
zachód „	16.17	17.12	13 04

Z literatury ŁOWIECKIEJ

„Pies“ — Organ Związku Kynologicznego w Polsce, Nr 3 — 4. 1950 r., cena 4,50 zł, Warszawa, ul. Nowy Swiat 35, Konto w PKO — I-9190.

Ukazał się, grudniowy, podwójny zeszyt kwartalnika „Pies“, poświęcony głównie Terrierom i zastosowaniu ich w łowiectwie. Poprzedzony on został artykułem programowym, pióra K. Smulkowskiego, pt.: „Zadania hodowlane Związku Kynologicznego“, a ponadto zawiera ciąg dalszy źródłowej pracy dr E. Szyfelbeina: „Zasady hodowli i chowu psa“, omawiający choroby, wywoływane przez robaki pasożytnicze; regulamin amatorskiej tresury psów obronnych; sprawozdanie z jesiennych prób wyżła w Chojnicach i wyniki wystawy psów w Katowicach, studium „Łajka syberyjska w łowiectwie“ P. Pupyszewa; jak również recenzję z książki Pupyszewa o psach legawych; wreszcie dział beletrystyczny, na który składają się opowiadania: „Pies górnika“ — R. Zatorskiego, „Lebiega w dęciaku“ — felieton Wiecha i „Psubrat“ — dodatek satyryczny.

Temat zasadniczy zeszytu: „Terriery“ objął charakterystykę ogólną grupy terrierów, ich exterieur'u wzorcowego i stosowanie w łowiectwie oraz specjalne rozdziały, poświęcone: foxterrierowi ostrowłosemu, Welsh terrierowi, Skye terrierowi, Airedale terrierowi, Kerry blue terrierowi, Sznaucerom itp. Całość jest obficie ilustrowana dobrymi zdjęciami i stoi na wysokim poziomie fachowym i publicystycznym.

J. G.

„Żubr — król polskich puszcz“.

Pod tym tytułem L. Madejczyk zamieszcza w Nr. 7 „Lasu Polskiego“ krótką historię żubra w Polsce. Nas interesuje głównie ostatni jej etap, mianowicie: stworzenie w Gorcach pod Turbaczem nowego rezerwatu, specjalnie dla odrodzenia żubra górskiego. W tym celu z rezerwatu w Hysnem w Puszczy Niepołonieckiej przewieziono do Gorców cztery żubry o najwyższym procencie krwi kaukaskiej, mianowicie: buhaja „Puka“ (17 lat), krowę „Pumę“ i cielęta: „Pukar“ i „Puganka“. Ciekawą będzie ta próba regeneracji żubra górskiego, którego ostatni przedstawiciele wyginęli na Kaukazie w 1921 r. Nowy rezerwat leży na wysokości 600 — 1.000 m nad poziomem morza, mierzy dziś 30 ha w lasach Polanka pod Skalem, a w roku przyszłym ma być zwiększony do 100 ha. Żubry mają tam być hodowane w warunkach, możliwie najbardziej zbliżonych do naturalnych

J. G.

„Chrońmy przyrodę ojczystą“, Nr 7/8 (lipiec — sierpień), 1950 r.

Ostatni zeszyt Organu Komitetu Ochrony Przyrody Akademii Umiejętności poświęcony został w całości opisowi Ojcowa, jako terenu wycieczek szkolnych i wczasów, a zarazem najciekawszego u nas obszaru, słynącego z osobliwości krajobrazowych, przyrodniczych, historycznych i etnograficznych. To też pracę tę wykonali tacy fachowcy, jak prof. W. Szafer i M. Gotkiewicz ze współudziałem: B. Ferensa i J. Kornasia. Poszczególne rozdziały noszą tytuły: Wstęp, Z przeszłości geologicznej, Jaskinie, Roślinność, Świat zwierzęcy, Zamek w Ojcowie, Grodzisko, Zamek w Piaskowej Skale, Ludność Ojcowa, Ojców, jako rezerwat przyrodniczy. Pracę uzupełnia obszerny wykaz „Literatury, dotyczącej przyrody i człowieka w Dolinie Ojcowskiej“.

Z. biologii ptaków — G. Sokołowski, Warszawa, 1950 r., str. 290, wyd. „Książka i Wiedza“. Cena 450 zł.

Autor dwutomowej pracy „Ptaki ziem polskich“, wydał nowe poważne studium pt. „Z biologii ptaków“, poświęcone badaniom nad życiem ptaków. Badania te obejmują wszystkie przejawy tego życia ujawniające się zarówno w cechach zewnętrznych ptaków: jego różnorodnej postaci, swoistej budowy, upierzenia, barwy i lotu, jak i w charakterystyce rozwoju zmysłów u ptaków: sposobu pobierania pokarmu, wydawania głosów porozumiewawczych i śpiewu, łączenia się „małżeństw“ w pary, budowy gniazd, wysiadywania jaj i opieki nad pisklętami, wreszcie wędrówek ptaków. Są to już przejawy życia wewnętrznego, sięgające w dziedzinę psychiki rodu ptasiego.

Duże osiągnięcia, zdobyte w tej dziedzinie w ostatnich kilku dziesiątkach lat, zostały przez autora skrzętnie zestawione i poddane ocenie krytycznej. Zaś zilustrowanie pracy umiejętnie dobranymi rysunkami i zdjęciami i posługiwanie się w niej językiem barwnym i pięknym, czynią z nowej książki J. Sokołowskiego dzieło mogące zainteresować najszersze warstwy czytelników.

J. G.

Dubeltówka śrutowa, nabój, strzelanie — H. Zapolski Downar, wydanie V, wyd. „Prasa Wojskowa“, Warszawa, 1950 r., str. 83, cena 110 zł.

W piątym już wydaniu ukazuje się doskonały podręcznik H. Zapolskiego Downara, tym razem pod egidą Głównego Komitetu Kultury Fizycznej. Poprzedza go przedmowa Komitetu Wykonaw. Polskiego Związku Łowieckiego, uznająca pracę kol. Zapolskiego za „podręcznik, niezbędny dla podstawowego szkolenia w sporcie strzeleckim“, nie tylko myśliwych, ale jak najszerszych rzesz sportowców, a zwłaszcza młodzieży.

Istotnie, tylko znakomite opanowanie przedmiotu pozwoliło autorowi zamieścić na 83 stronach książki całość zagadnienia tak poważnego, jak: budowa dubeltówki śrutowej, jej ocena ze stanowiska technicznego i praktycznego, zbadanie wartości strzeleckiej broni, dopasowanie do potrzeb indywidualnych użytkownika, a w ślad za tym, przystosowanie do broni i jej skutecznego działania naboju i jego głównych składników: spłonki, prochu i śrutu, wreszcie podanie w skrócie podstawowych zasad teorii strzału i określenia warunków najlepszej jego skuteczności.

Książka kol. Zapolskiego zastępuje z powodzeniem obszerne dzieła fachowe i wystarcza w zupełności dla potrzeb przeciętnego myśliwego i sportowca.

J. G.

Komunikaty Powiatowej Rady Łowieckiej w Rybniku Nr 9, listopad 1950 r.

Komunikat zamieszcza alarmujące wieści o panoszeniu się wnykarstwa na terenie powiatu i wzywa do wszczęcia energicznej akcji zwalczania tej plagi naszych łowisk. Prowadzona być ona winna w drodze systematycznego patrolowania lasów i remiz, organizacji czatów na wnykarzy, informowania ludności o szkodach, wyrządzanych dla majątku społecznego. Celem poparcia tej akcji Rada Powiatowa wypłacać będzie nagrody za każdego przytrzymanego wnykarza.

Za odstrzał szkodników Rada ustaliła zwrot nabojów w ilości: 5 szt. za jastrzębia gołębiarza, 4 szt. za ubitego kota, łasicę i gronostaja, 3 szt. za krogulca i czaplę, 2 za psa. Jako dowód należy przedłożyć: nos kota, koniec ogona psa, łasicy i gronostaja, nóżki ptaków.

Komunikat Rady Powiatowej w Nysie, Nr 10/1950 r.

Komunikat przypomina, iż egzaminy wstępne dla kandydatów na członków Polskiego Związku Łowieckiego odbędą sie w dniach 4 i 11 grudnia. Wzywa do wpłacania składki na 1951 r., ustalonej przez Radę Wojewódzką na 90.— zł, oraz do uregulowania tenut dzierżawnych. Myśliwi, nie posiadający terenów, mogą zgłaszać się do Kół Myśliwskich: **„Ryś“, „Kozica“, „Bażant“ i „Paczków“.**

Wyniki Konkursu Literackiego

Komitet Redakcyjny Łowca Polskiego w wykonaniu warunków Konkursu Literackiego, ogłoszonego w Nr 5 (978) „ŁP“, powołał Sąd Konkursowy w składzie: Kol. Marek Sadzewicz (przewodniczący), kol. Stanisław Ihnatowicz, kol. Edward Frankiewicz, kol. Rudolf Kryspin, kol. Andrzej Śliwiński

Sąd konkursowy po dokonaniu oceny prac, które napłynęły w ilości 60-ciu, postanowił:

I-szej nagrody nie przyznawać. Pozostałą stąd sumę zgodnie z uchwałą Komitetu Redakcyjnego przeznaczyć na ustanowienie dodatkowej II-giej nagrody i dodatkowej III-ciej.

NAGRODĘ II-gą (po 600 zł) przyznać pracy „Wrześniowy zmierzch“ godło Nemrod i pracy „Paweł Jasiuk“ godło Junior.

NAGRODĘ III-cią (po 300 zł) następującym pracom:

„Szary lis“ godło Debroń, ‚Cztery pory roku“ godło Emes, „Kormorany“ godło Kormoran, i „Tryplet“ godło Skierka.

Po komisyjnym otwarciu kopert okazało się, iż autorami nagrodzonych prac są:

II-ga NAGRODA: Leopold Pac-Pomarnacki (godło Nemrod) i Jan Edward Kucharski (godło Junior).

III-cia NAGRODA: Stefan Futko (godło Debroń), Michał Sokołowski (godło Emes), Zbigniew Porębski (godło Kormoran) i Mieczysław Krasnodębski (godło Skierka).

Ponadto zostały wyróżnione przez S. K. prace: „Spór wewnętrzny“ (godło Drop) autor Bogdan Hamera; „Szaruś“ (godło Stab) autor Stanisław Barański; „Kłusownik“ (godło Larix), autor Marian Stypiński; „Kłusownik“ (godło Żarnowiec) autor Stanisław Górski: „Na leśnej ścieżce“ (godło Wrzos), autor Jerzy Oświecimski; „Z pamiętnika myśliwego“ (godło Sztandar Łowiecki), liński.

Poza pracami nagrodzonymi i wyróżnionymi Sąd Konkursowy zakwalifikował do druku prace: „Tragiczny dublet“ godło Jastrząb; „Wspomnienie z toków“ godło Rebrowacz; „Z demokracją na dziki“ godło Junosza; „Ałyk i niedźwiedź uralski“ godło Sulica; „Leśniczy“ godło Daglezia; „Spotkanie“, „Wspomnienie o Ikarze“, „Opowiadanie“ i „Roztargnienie“ godło Mar; „Na odsiecz dzika“ godło Błękitne Jezioro; „Łowiectwo dawniej a dziś“ godło Vlado; „Dublet“ i „J. jak“ godło Skierka; „Na lisy z jamnikami“ godło Jamnik; „Polowanie a zdrowie“ godło Lis; „Różne typy“ godło Humor; „Z mojej włóczęgi“ godło Socha; „Spełnione pragnienie“ godło Hubertus; „Ostatni strzał“ godło Szarak; „Małych łowów jasne chwile“ godło Wędrowiec; „Śląskie skrzekoty“ godło Rosomak; „Jego trzynasty dzik“ godło Łowiec; „Czy już chociaż ostatni“ godło Łania; „Okruchy“ godło Knieja; „Franuś Ptasznik“ godło Franuś Ptasznik; „Podgórska wyprawa“ godło Nowy Rok; „Dzik partyzant“ godło Wrzos; „Kłusowniczym śladem“ godło Barted; „Opowiadanie myśliwskie“ godło Ryś; „Stały olchy nad ciemną wodą“ godło Olchy; „W pogoni za dziadkiem“ godło Wrzesień.

Zgodnie z warunkami konkursu autorzy prac nagrodzonych otrzymają po pięć egzemplarzy Łowca Polskiego z pracami wydrukowanymi oraz normalnie przypadające honorarium.

Prace wyróżnione i zakwalifikowane do druku mogą być drukowane z opłatą normalnego honorarium i z prawem do dwóch egzemplarzy autorskich.

SĄD KONKURSOWY

Sprawa adresów

odbiorców „Łowca Polskiego"

W związku z przejęciem przez PPK „Ruch" kolportażu „Łowca Polskiego", do czasu osobnego zawiadomienia o wyniklej stąd zmianie prosimy o zachowanie dotychczasowego trybu zbierania adresów miejsc zamieszkania od członków PZŁ opłacających składkę na br. i przesyłania ich do Administracji „Łowca Polskiego" (W-wa, N. Świat 35).

Celem usprawnienia dostawy pisma do rąk czytelników, koniecznym jest zachowanie następujących warunków gromadzenia i dostarczania adresów członków:

Członkowie Polskiego Zw. Łowieckiego wpłacający do Rady Wojewódzkiej lub Łowczego Powiatowego składki na rok bież., powinni przede wszystkim sprawdzić czy adres został zapisany prawidłowo w wykazie przez władze te sporządzonym.

W razie zmiany adresu należy powiadomić o tym zarówno Administrację pisma jak i Radę Wojew.; obok adresu nowego podać należy obowiązkowo i adres poprzedni, gdyż tylko to umożliwia odnalezienie właściwej płytki adresowej dla jej przeróbki. Za tę przeróbkę wzgl. zamówienie nowej płytki adresowej należy wnieść opłatę w wys. 3 zł.

W razie nie otrzymania kolejnego zeszytu należy przede wszystkim sprawdzić u Łowczego Powiatowego lub w Radzie Wojew., czy adres został przesłany prawidłowo, oraz kiedy przesłano to zawiadomienie, gdyż stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia, członkowie Polskiego Zw. Łowieckiego otrzymują „Łowiec Polski" dopiero od chwili zgłoszenia adresu członka przez Woj. Radę Łow. do Administracji pisma. Nakład bowiem pisma jest ściśle przystosowany do aktualnej liczby członków.

Łowczowie Powiatowi proszeni są o zwrócenie uwagi na dokładność zanotowania adresu członków w sporządzanym wykazie i przesyłania go do Rady Woj. możliwie bez zwłoki.

Rady Wojewódzkie, przesyłając zbiorowe wykazy do Administracji „Ł. P.", winny uprzednio sprawdzić w kartotekach dane dotyczące każdego członka-prenumeratora, oraz proszone są o skrupulatne przepisywanie adresów, gdyż jest to podstawowy warunek regularnej dostawy pisma. Niezbędnym jest także niezwłoczne, nie rzadziej niż raz na dekadę, przysyłanie tych wykazów do Administracji pisma, aby uniknąć zwłoki i pozbawienia przez to członków początkowych zeszytów.

Wykazy te należy sporządzać na papierze kancelaryjnym, nie na bibułkach, na których nie można robić adnotacji, jak również, przepisywać z odstępami pomiędzy nazwiskami, aby umożliwić uzupełnienie lub wprowadzenia zmian w adresach.

Administracja

Wydawca — Polski Związek Łowiecki. Redaktor: M. Rudolf Kryspin. Warszawa, N. Świat 35. Konto PKO I-161/113. Komitet Redakcyjny: przewodniczący — Z. Korolkiewicz, członkowie: J. Bohusz, J. Gieysztor, I. Ihnatowicz, Z. Kowalski, R. Kryspin, A. Przecławski, M. Sadzewicz, A. Śliwiński, H. Zapolski - Downar, M. Zarychta, Doradca graficzny — S. Rozwadowski.

Zam. 1291 z dn. 27.XII.50 r. Nakład 25.000 egz. Ukończono w lutym 1951 r.

Druk „Prasa Demokratyczna — Nowa Epoka" W-wa, Śniadeckich 16.

2-B-12657